MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK IX. Nr 46. WARSZAWA, 27 PAŹDZIERNIKA 1929 R. CENA NUMERU 80 gr.

O IDEAŁACH WYCHOWAWCZYCH

(Z POWODU PRZEMÓWIENIA P. MINISTRA W. R. I O. P.)

W NUMERZE październikowym „Oświaty i Wychowania", pisma wydawanego przez ministerstwo W. R. i O. P., znajduje się na miejscu naczelnem przemówienie p. min. dr. Sławomira Czerwińskiego, wygłoszone w lipcu b. r. w Poznaniu, na kongresie pedagogicznym, urządzonym staraniem Związku Polskiego Nauczycielstwa Szkół Powszechnych i Związku Zawodowego Polskich Szkół Średnich. Tytuł artykułu „O ideał wychowawczy Szkoły polskiej" jest bardzo obowiązujący i spodziewamy się znaleść w nim odpowiedź na zagadnienia wyjątkowo ważne nietylko dla życia szkolnego, ale wogóle dla naszej polityki wewnętrznej. Jasną jest bowiem rzeczą, że wskazanie przez członka rządu pewnych ideałów wychowawczych jest zarazem pouczeniem, jakie to ideały przyświecają temu rządowi, a przynajmniej temu ministrowi, który owe hasła wygłasza. Wobec rezerwy naszego rządu, milczącego od trzech lat w sprawach, tyczących się podstaw wychowania narodowego, wystąpienie p. min. dr. Czerwińskiego musi budzić wyjątkowe zainteresowanie.

Już na samym początku swej mowy p. minister stwierdza, że temat wybrany przez niego nie jest ani łatwy ani wdzięczny, głównie z tego powodu, że epoka, w której żyjemy, nie ma wyraźnej fizjognomji duchowej, gdyż żaden ze współczesnych prądów umysłowych nie ma warunków trwalszego zapanowania nad umysłami. Nie wiemy, czy żyjemy na schyłku starej epoki, czy też na progu nowej.

Jeżeli chodzi o Polskę, to przynajmniej ta ostatnia wątpliwość znika, gdyż dla nas wielka wojna była zamknięciem jednej epoki dziejów i otwarciem innej. Olbrzymiej zmianie w losach zewnętrznych narodu musi odpowiadać jakość i wielkość przemiany w jego życiu.

Zbyt liczne grupy społeczeństwa — zdaniem ministra — tkwią jeszcze swoim światopoglądem w okresie niewoli. Można to stwierdzić w naszych oficjalnych programach, pozbawionych „dostatecznej dozy oryginalności" i opartych na tym materjale wychowawczym, który w czasach niewoli był ożywczy, lecz dziś nie jest odpowiedni dla pokolenia wolnego.

W dotychczasowej pracy — twierdzi dalej — zbyt jednostronnie kierowaliśmy uwagę na formy zewnętrzne t. j. na ustrój szkolny, a przecież należało by zacząć od postawienia własnego ideału wychowawczego. Dokonanie tego jest rzeczą najpilniejszą, gdyż poprzedni podział narodu między trzy odmienne organizmy nie mógł wytworzyć wspólnych pojęć i przyzwyczajeń; nadto „ze znanych powodów" musimy obronić dusze naszej młodzieży od „niektórych cech starszego pokolenia". Powinniśmy się spieszyć, chociaż może ideały nie przeniknęły jeszcze do mas; wystarczy, gdy zapłodnią one umysły niewielkiej garści najlepszych w narodzie. Być może, że już jesteśmy bliscy skrystalizowania się naszych ideałów. „Kto wie, czy wszystkie jego elementy nie są w tej chwili wśród nas tu zebranych i czy jego idea nie unosi się już w tej sali, czekając tylko na odpowiednią chwilę, aby się ujawnić w słowie". (Możemy sobie wyobrazić, jaka duma musiała zabłysnąć w oczach naszych radykałów, tych *„aliborons"*, o których dowcipnie pisze René Benjamin w książce, niedawno omawianej na łamach „Myśli Narodowej").

Przygotowanie miejsca dla nowego ideału wychowawczego: oto pierwsze zadanie polskich nauczycieli. Trzeba ze szkoły „wyżenąć upiory przeszłości w postaci starych, przeżytych ideałów". Tuła się po szkołach tu i ówdzie jeszcze „carski ideał pokornego poddanego; poznajemy go po tem, że nauczyciel nie pozwala uczniom samodzielnie pracować i myśleć. O wiele częstszym jest typ sprawnego a posłusznego biurokraty"; biurokratyzm sięgnął do samej istoty wychowania, oddzielając wychowawców od wychowanków murem regulaminów i rozmaitych przepisów. Nic też dziwnego, — dodaje p. minister — że wychowujemy pokolenie, które w ważnych momentach historycznych pyta nie o to, czy Ojczyzna została zbawiona, tylko o to, czy wybawca postępował zgodnie z przepisami.

Po tym wstępie przechodzi p. min. zupełnie nieoczekiwanie do zastanowienia się, który z dwóch zasadniczych typów powinniśmy otaczać większą pieczołowitością: pozytywistów czy romantyków, inaczej:

żołnierzy z obowiązku czy żołnierzy z zamiłowania lub, jeszcze inaczej, pracowników czy bojowników.

Bojownik to ten typ, który odegrał zbawienną rolę w dziejach porozbiorowych i zapełnił szeregi legjonowe, w szczególności „pierwszą brygadę"; pracownik przez swój upór w pracy przyczynił się walnie do przetrwania niewoli, a w czasie wojny należał do przeciwnego obozu politycznego.

W naszej praktyce szkolnej uważano dotychczas za jedynie wartościowy typ „pracownika", bo on jest dla szkoły łatwiejszy, jako bojaźliwy i posłuszniejszy. Ta jednostronność jest krzywdząca i szkodliwa. Nie wolno nam zapominać, że bojownik nigdy nie mógł znieść niewoli i dlatego w nim przedewszystkiem są te pierwiastki, które dla naszego dzisiejszego zadania są najcenniejsze, natomiast pracownik paktował i godził się z niewolą. Cechuje go „okrucieństwo wobec słabych"; tu p. minister pozwolił sobie na takie zdanie, wysoce krzywdzące młodzież poznańską: „Gdy widzę pewne koła naszej młodzieży, padające plackiem przed stołem, na którym silni tego świata spisali traktat Wersalski, a wkrótce przed tem czy potem widzę te same koła młodzieży butnie bijące szyby w oknach sklepów i mieszkań słabych żydów poznańskich, to, proszę Panów, jestem głęboko zaniepokojony, bo widzę w tem dowód, że bakcyle chorób duszy niewolniczej dają się przeszczepiać i na młodsze pokolenie Polaków".

I znów z dziwną niekonsekwencją zaczyna p. minister chwalić pracownika, gdyż posiada on jednak wartościowe cechy: wielką wytrwałość i systematyczność w równej, pokojowej pracy. A przecież pierwszem zadaniem szkoły polskiej jest nauczyć młodzież — kochać pracę i umieć pracować. U naszych uczniów uderza brak dobrego opanowania rzeczy elementarnych, a przyczyną tego jest brak solidnej i rzetelnej pracy w szkole. Z powyższych rozważań wyciąga p. minister ostateczny wniosek, że typ bojownika i pracownika w jednej osobie jest potrzebny odrodzonej Polsce.

*

Zaznajomiwszy się z treścią przemówienia, zastanówmy się przedewszystkiem nad tem, czy ona odpowiada dumnemu tytułowi: „O ideał wychowawczy szkoły polskiej". Ma widocznie w tej sprawie pewne wątpliwości i sam mówca, gdyż zapowiada, że „w krótkiem, okolicznościowem przemówieniu nie będzie się kusił o wyczerpujące przedstawienie ideału wychowawczego dzisiejszej szkoły polskiej". A szkoda. Już kiedy jak kiedy, ale wówczas na „kongresie pedagogicznym" mógł sobie pozwolić p. minister na poświęcenie jeszcze kilku minut, by jeżeli nie wyczerpać, to przynajmniej dotknąć wybranego przez siebie tematu. Przecież to, co powiedział, a co starałem się streścić wiernie, jest tylko żonglowaniem słowami, wypowiadaniem znanych i do niczego nie obowiązujących ogólników, nagromadzeniem zdań często sprzecznych, kilku pochlebstw w stronę ludzi „pierwszej brygady" i nietaktownych wycieczek wobec obozu prawicy i Poznania — ale naprawdę w całej mowie niema nic pozytywnego o ideałach wychowawczych. Możnaby chyba tylko podkreślić nasze zdumienie z powodu zdania, potępiającego ideał potulnego poddanego i zalecającego szanowanie swobody myśli. Wobec faktów represyj, stosowanych przeciw nauczycielom nietylko za ich działalność nauczycielsko-wychowawczą, ale nawet za działalność poselską, słowa te w ustach członka obecnego rządu są wyjątkowo... dziwne.

Pan minister uchyla się od przystąpienia do tematu, który przecież sam sobie wybrał i omawia nie ideał wychowawczy, lecz całkiem inne zagadnienie, bez porównania mniej ważne: którą z dyspozycyj psychicznych, wytrwałość w pracy czy też pewną krewkość w postępowaniu, w łamaniu prawa i zwalczaniu przeszkód należy hodować. Wprawdzie p. minister ostatecznie poleca rozwijać jedną i drugą dyspozycję, ale poważną część przemówienia poświęcił gnębieniu typu pracownika, a wielbieniu bojownika. Należy wątpić, czy ministrowi, twórcy i stróżowi przepisów, wypada zachęcać do łamania tychże przepisów i wyśmiewania się z rzekomej formalistyki, biurokratyzmu i trzymania się ścisłego regulaminu. Łatwe to szukanie efektów oratorskich pociąga w życiu smutne skutki. Do łamania przepisów niepotrzeba zachęcać ani nauczycielstwa ani nawet całego naszego społeczeństwa. Niestety, ma ono do tego aż za dużo pochopności i jeżeli gdzie, to na tem polu długi okres niewoli zostawił prawdziwie spustoszenie w duszach naszych, zwłaszcza w duszach „bojowników". Zło to nie zmniejsza się, ale jeszcze się zwiększa, bo codzienne życie współczesnej Polski dostarcza ciągle nowej zachęty i to ze strony, stróżów prawa...

Mieszanie przepisów, regulaminów z prawami nazywanie ludzi, słuchających prawa, „bojaźliwymi" dziwnie wygląda w ustach przedstawiciela rządu. Z dwóch krańcowości: zbyt swawolnego igrania z prawem, z drugiej zaś strony drobiazgowego nawet trzymania się wszelkich przepisów, pierwsza krańcowość jest znacznie niebezpieczniejsza. Narody zachodnie doszły do dzisiejszej potęgi i rozwoju swojej kultury wdrażaniem w społeczeństwo prawnej dyscypliny i czci dla swoich ustaw. W czasach niewoli, zwłaszcza w zaborze rosyjskim, byliśmy często zmuszani do łamania praw, ale chęć przenoszenia tych cech na nowe pokolenia jest objawem groźnym. Zaprawdę, jeżeli do kogo, to do tych łamiących przepisy polskie i drwiących z prawa można zastosować słowa p. ministra: „Zbyt wielu jeszcze z pośród nas swoim światopoglądem, gatunkiem swego patrjotyzmu, tkwi jeszcze zbyt głęboko w okresie niewoli".

Zdaniem naszem zagadnienie to nie łączyło się zupełnie z tematem zasadniczym i poruszanie go bez powodu świadczy tylko o jakimś niepokoju wewnętrznym, o potrzebie uspokojenia wyrzutów. Minister, który wbrew konstytucji i prawu zwalnia i przenosi tylu nauczycieli, musi odczuwać niepokój w sumieniu i sofizmatami chce je uspokoić.

Że całe sztuczne i niekonsekwentne zresztą rozważanie o „pracownikach" i „bojownikach" nie jest odpowiedzią na pytania, tyczące się ideałów wychowawczych szkoły polskiej, świadczy najlepiej ten fakt, że pod ostateczną konkluzją przemówienia, jako zbyt ogólnikową, mógłby się podpisać Anglik, Francuz, Niemiec i t. d., i to zarówno konserwatysta jak i bolszewik. Wszyscy pragną widzieć w młodem pokoleniu i wytrwałych pracowników i śmiałych bojowników. Różnice dopiero wystąpią, gdy przyjdzie im odpowiedzieć, dla jakich to ideałów należy wytrwale pracować i walczyć. Konserwatyści chętnie będą widzieć w swoich szeregach śmiałych bojowników w obronie tradycji, bolszewicy zaś pragną, żeby ich młodzież pracowała wytrwale dla kominternu a równocześnie śmiało rozbijała społeczeństwa Zachodu.

Konkluzja więc ostateczna p. ministra nie wyjaśnia nic a nic i dalej będzie tak, jak p. minister słusznie wytykał: „W Polsce każda szkoła, ba, nawet każdy pojedyńczy pedagog zakreśla sobie odmienne cele wychowawcze i konstruuje sobie własny ideał".

Nie pomoże tu nic przemówienie o bojownikach i pracownikach. Szkole należy podać jasno wyraźne

ideały i minister, który podjął się odpowiedniego tematu, nie powinien o nich milczeć.

Te ideały, które przyświecają olbrzymiej części narodu, są dobrze znane, wszak Polska słusznie chlubi się, że była przedmurzem chrześcijaństwa i kultury zachodniej. Dziś, gdy graniczymy na olbrzymiej przestrzeni z państwem sowieckiem, które wydało z całą świadomością i w sposób najbardziej wyzywający walkę religji i narodowości, tym podstawom kultury zachodniej, minister polski ma obowiązek rzucać nauczycielstwu hasła nie mgliste, ale zupełnie wyraźne i zdecydowane: walką z materjalizmem Wschodu, walkę z indyferentyzmem narodowym i religijnym.

Tak postąpił wielki kierownik Italji, Mussolini, który śmiało postawił krzyż, jako najwyższy symbol, swemu narodowi i oparłszy się na takim ideale wychowawczym prowadzi państwo do wielkiej przyszłości. Ma on na czem ją budować; słowa najbardziej wymowne o ofiarach, pracy i bojowaniu nie dałyby faszyzmowi bez tej granitowej podstawy tego rozmachu, który zmusza do podziwu nawet najzagorzalszych jego przeciwników.

Najbardziej wszakże skłania do zastanowienia, że p. minister nie przypadkowo ominął przy omawianiu ideałów wychowawczych wskazanie na te ideały, które prowadzą naród od tysiąca lat i które dziś przemawiają do 90% Polaków. Jest on człowiekiem zbyt inteligentnym, by go podejrzewać o zapomnienie. Mamy jednak i dowód, że to zamilczenie było rozmyślne, a tego dowodu dostarczają wypadki tego samego dnia, w którym p. minister wygłosił przemówienie.

Otóż w tym samym dniu, w tym samym Poznaniu, obradował wielki zjazd nauczycielski stowarzyszenia chrześcijańsko-narodowego, którego już nazwa wskazuje dwa zasadnicze sztandarowe ideały. P. minister nie uważał za stosowne poświęcić kilku chwil temu zjazdowi. Ta nieobecność jest najbardziej wymownem uzupełnieniem mowy p. ministra: „O ideałach wychowawczych szkoły polskiej".

STANISŁAW KR.

NIEZWYKŁA ROZPRAWA DOKTORSKA

WŚRÓD powodzi studentów-żydów, pochodzących z Polski, a nawiedzających szkoły wyższe zagranicą, wyróżnił się świeżo p. Jerzy Gliksman swą rozprawą doktorską na Sorbonie p. t. *„L'aspect économique de la question juive en Pologne"* (*edition Rieder, Paris 1929 str. XXVIII + +196*). Materjały, nagromadzone przez świeżego doktora praw w tej książce (52 tablice statystyczne, nie licząc mniejszych zestawień cyfrowych) są tak interesujące, wywody historyczne i opisowe tak ze wszech miar ciekawe, konkluzje wreszcie tak niedwuznaczne, że poprzedzenie rozprawy doktorskiej przedmową aż dwóch profesorów uniwersytetu (współplemieńców autora) pp. Williama Oualid, profesora na wydziale prawnym Sorbony, oraz L. Herscha, profesora uniwersytetu w Genewie, po przeczytaniu książki przestaje dziwić.

Dzieło swe p. Gliksman podzielił na 3 części: część pierwsza — to zarys historyczny; część druga traktuje o strukturze zawodowej i społecznej żydów w odbudowanej Polsce, część trzecia nosi znamienny tytuł: „od historji do czynu".

We wstępie, poprzedzającym całość, autor usiłuje rozprawić się *a priori* ze znanym zarzutem przeciwko żydom, jakoby nie pracowali produkcyjnie i wygłasza otwarcie następujące zdanie: „Jeżeli pomiędzy żydami"— mówi — „znajomość problemów gospodarczych ich własnego życia nie jest dostatecznie pogłębiona, to należy stwierdzić, że na tem polu natrafiamy u nieżydów na ignorancję częstokroć zupełną".

Autor zamierza zapełnić swą książką tę lukę w wykształceniu aryjskiej publiczności, dając jej do ręki pracę w języku francuskim, poprzedzoną wstępem dwóch powag naukowych i... mówiącą cyframi. Któż zaś wobec „zupełnej ignorancji" będzie na to dostatecznie przygotowany, by cyfry czytać i interpretować inaczej, skoro p. Gliksman, doktór praw Sorbony, tyle w to już włożył pracy i intelektu, skoro ugruntował nawet swe wywody na głębokiej, historycznej podstawie?

Autor zaczyna od omówienia położenia żydów w Polsce przed rozbiorami i dochodzi do wniosku, że było ono rozpaczliwe. Przyczyną tego stanu był powszechny upadek miast w Polsce i jawny antysemityzm, powstający wszędzie tam, gdzie budzi się do życia gospodarczego mieszczaństwo rdzenne i poczyna walczyć z konkurencją żydowską. „W miarę organizowania się chrześcijańskiej warstwy mieszczańskiej, dostrzega ona w żydach niebezpiecznych konkurentów i wysila się, aby ich rozbroić za wszelką cenę. To sprawdza się w dawnej Polsce".

W odstępie kilku wierszy w poważnej pracy naukowej ustawił autor obok siebie zupełny upadek miast i... organizujące się mieszczaństwo chrześcijańskie. Panie Gliksman! Co na to pański objektywizm doktorski?

Autor wspomina filosemickie projekty Butrymowicza, Stanisława Augusta, Czackiego i innych, które jednak pozostały na papierze.

W rezultacie nie kryje autor, że rozbiór Polski stanowił dla żydowstwa na ziemiach polskich zapowiedź poprawy gospodarczej. Jest przecież jednak rzeczą znamienną, że wśród czynników, powodujących nędzę polskiego żydowstwa w XVIII wieku, pominął p. Gliksman całkowicie milczeniem masową imigrację żydów do Polski z zachodu i wschodu, rozpoczynającą się już od wojen szwedzkich i trwającą przez cały wiek XVIII. Ze wschodu z ziem tureckich (Frank), z zachodu z Niemiec napływają żydzi do Polski tak, że liczba ich zwiększa się wielokrotnie. Czyż ci współwyznawcy, imigrujący do Polski bez majątku, nie stwarzają sobie wzajem konkurencji i czy nie raczej w tym napływie, niż w „organizującem się mieszczaństwie chrześcijańskiem" i antysemityzmie szlachty należałoby upatrywać główną przyczynę nędzy polskiego żydowstwa w XVIII wieku?

Podział Polski między trzy mocarstwa umożliwił żydowstwu częściową emigrację z terytorjów dotychczasowego zamieszkania.

Żydzi zaboru pruskiego, korzystając z rozwoju nowoczesnego kapitalizmu, przemysłu i handlu wyemigrowali do miast niemieckich. Z Galicji emigrowali częściowo do Węgier i do... Królestwa Kongresowego. Z terytorjów zabranych przez Rosję, emigrowali w głąb Rosji.

Autor omawia szeroko położenie gospodarcze żydów w zaborach austrjackim i rosyjskim i dochodzi do wniosku, że było ono dość pomyślne, szczególnie na obszarze byłego Królestwa. Dopiero wojna światowa i zmiana stosunków politycznych pogrążyły znów masy żydowskie w nędzy, wstrząsając podstawami ich dotychczasowego bytu gospodarczego.

We wstępie do właściwej części swej pracy usprawiedliwia się autor, że z braku innych danych oparł swe wywody na rezultatach spisu polskiego z dnia 30 września 1921 r. i spisów polskich, dokonanych przez władze wojskowe. P. Gliksman tłumaczy szeroko przyczyny nieścisłości tych spisów analfabetyzmem ludności, nieudolnością komisarzy spisowych i t. d., zapomniał jednak nadmienić, że właśnie w odniesieniu do ludności, która go interesuje specjalnie, spis nie mógł dostarczyć zbyt wiarogodnych danych, skoro ludność ta ze względów wojskowych, politycznych i fiskalnych w dużej mierze wolała tego spisu uniknąć, bądź też podać dane niezupełnie zgodne z prawdą..

Jeżeli uwzględnimy ponadto, że od r. 1921 dowiedzieliśmy się z ust wiarogodnych o 1.600.000 nowych „obywateli", to możemy przyjąć z całym objektywizmem, że tablice statystyczne autora, w liczbie 52, zestawione z ogromnym nakładem sił i zdrowia, wiszą nieomal w powietrzu, co uwalnia nas od szczegółowego zajmowania się niemi na tem miejscu.

P. Gliksman, jak widać z jego erudycji, zna lepiej od nas rozmiary niedokładności spisowych i — może właśnie dlatego — rozparł się z całą swobodą na cyfrach oficjalnych i doszedł do szczegółowych konkluzyj. Nacisk położył na istnienie klasy robotniczej żydowskiej, skupionej wprawdzie w niewielu gałęziach przemysłu, lecz stanowiącej mimo to poważną zapowiedź ewolucji żydowstwa w organizm społeczny o strukturze bardziej normalnej. Przeszkadza temu rozwojowi stan gospodarczy Polski, a w szczególności zamknięcie granicy wschodniej i b r a k o d p o w i e d n i e g o t r a k t a t u h a n d l o w e g o z Rosją oraz wojna handlowa z Niemcami i z n o w u b r a k t r a k t a t u h a n d l o w e g o z Rzeszą. Polska ożywiona antysemityzmem, nie tylko w ten sposób utrudnia położenie gospodarcze żydowstwa, albowiem — jak dotąd — zamyka wstęp robotnikom żydowskim do wszelkich przedsiębiorstw państwowych i komunalnych i do wielu prywatnych. Walka o „p r a w o p r a c y" jest dziś naczelnem hasłem żydowskich organizacyj robotniczych.

Część trzecia pracy zawiera właściwe wnioski autora. Są one tak interesujące i tak blisko nas dotyczą, że zasługują na przyjrzenie się im bliżej.

Odrazu z początku stwierdza p. Gliksman, że „bez szerokiego rynku — nie żydowskiego, otwartego dla zbytu wytworów przemysłu żydowskiego i dla ich aktywności handlowej, dysproporcja, panująca wśród żydów w zakresie struktury zawodowej, uniemożliwiałaby ich egzystencję, jako jednostki gospodarczej wyosobnionej i samowystarczalnej".

Rynek wewnętrzny — zdaniem autora — nie jest dostatecznie pojemny:

„Problem, jaki mają do rozwiązania właściciele kopalń angielskich jest analogiczny do problemu, który staje przed żydami polskimi, pracującymi w zawodach, nie mogących ich wyżywić w wielkiej liczbie. Tak samo, jak nowe rynki zbytu dla angielskiego węgla mogłyby rozwiązać problem angielskich właścicieli kopalń, tak samo dostatecznie szeroki rynek dla zbytu wytworów drobnego przemysłu i handlu żydowskiego w Polsce mógłby przyczynić się w dużej mierze do rozwiązania zagadnień gospodarczych żydowstwa".

Zacydowałem umyślnie to przydługie zdanie, aby wskazać, jak młody uczony żydowski uzależnia sanację stosunków gospodarczych żydowstwa w Polsce od... otwarcia bram naoścież dla eksportu żydowskiego, przyczem nie waha się położenia swych współrodaków zestawić z położeniem... właścicieli kopalń.

A więc precz z hasłem samowystarczalności gospodarczej Polski, co nam już przed paru laty powiedział wyraźnie słynny memorjał finansistów!

„Gdy chodzi o grupy społeczne (o żydów), kryterjum etyczne musi ustąpić na drugi plan wobec głównego bodźca każdej czynności gospodarczej, wobec poszukiwania zysku" — usprawiedliwia autor potrzeby żydowstwa.

Polska niepodległa prowadzi dotąd — zdaniem autora — politykę nawskroś agrarną, sprzeczną z interesami żydowstwa. Aby wmówić obcemu czytelnikowi swe twierdzenie, posługuje się autor znowu cyframi, obliczonemi tym razem na krańcową naiwność cudzoziemskiego czytelnika. Oto Bank Polski — przytacza p. Gliksman — udzielił na handel w r. 1924 — 1,1% w r. 1925 — 5 5% w r. 1926 — 5,3% w r. 1927 — 2,2% ogółu udzielonych przez siebie kredytów. Czytelnik obcy winien sobie wyobrazić, że reszta tych kredytów przypadała wsi. Cyfry te cytuje bowiem p. Gliksman na dowód, że czynniki państwowe polskie popierają wieś kosztem miast i ich ludności żydowskiej. A cyfry, dotyczące kredytów dla banków, dla przemysłu?

Gdzie podział pan te cyfry, panie Gliksman? Czy hołduje pan poglądom słynnego drugiego Mojżesza, Mojżesza Majmonidesa, który rozgrzeszał w dziełach naukowych sprzeczności, powstałe wskutek tego, że autor nie chciał lub nie mógł powiedzieć całej prawdy?

Poza zarzutem, postawionym Polsce, że przez prowadzenie polityki agrarnej zwalcza pośrednio żydów, autor obwinia Polskę o prowadzenie bezpośredniej polityki antysemickiej od pierwszych chwil niepodległości. Objawia się to w nieprzyjmowaniu żydów do służby państwowej oraz w niedopuszczaniu ich do pracy w przedsiębiorstwach państwowych i komunalnych. Szkoda, że p. Gliksman nie zebrał statystyki, dotyczącej ilości żydów i osób pochodzenia żydowskiego na stanowiskach państwowych od piątego stopnia służbowego w górę i nie potrudził się porównaniem procentu tych osób z procentem ludności żydowskiej w Polsce.

W ostatnim rozdziale swej pracy formułuje doktór Sorbony ostateczne wyniki swych dociekań.

Rozwiązanie kwestji żydowskiej nie może się dokonać przez emigrację żydów. Stany Zjednoczone zamknęły wstęp, Palestyna to fantazja.

P. Gliksman cytuje miarodajne w tej mierze oświadczenie p. Fr. Philippsona, prezesa rady zawiadowczej *Jewish Colonisation Association* (*I. C. A.*), zawarte w jego mowie, wygłoszonej w Paryżu dn. 17 października 1925 r.:

„Sądzimy, że jest korzystniej, zarówno ze względów moralnych, jak i materjalnych, aby nasi współwyznawcy pozostali w swym kraju i związali się z nim... Zagadnienie różnicy kosztów już samo przez się rozstrzyga. Zatrzymując naszych współwyznawców w ich kraju możemy wspomóc cztery lub pięć razy więcej rodzin, niż gdybyśmy ich mieli urządzać na nowo w odległych krajach".

Autor nazywa syjonizm „marzeniem Herz'a" i osądza go bardzo surowo.

Emigracja do Palestyny nie mogłaby w żadnym razie pochłonąć nawet naturalnego przyrostu żydowstwa polskiego, obliczonego przez p. Gliksmana na 40000 rocznie. „Z drugiej strony syjonizm" — cytuje autor — „faworyzuje u żydów obojętność i absencjonizm polityczny... działa więc na szkodę".

Projekty osiedlenia żydów na roli uważa p. Gliksman za nierealne. „Projekt zdrenowania bagien Polesia (okolice Pińska) na przestrzeni dwóch miljonów hektarów jest w obecnych warunkach czystą fantazją".

A jednak nasze ministerstwo robót publicznych prowadzi — jak dobrze wiadomo — w tym zakresie szeroko zakrojone prace pomiarowo-przygotowawcze. Zapewne jednak nie chodzi tutaj o osiedlenie współplemieńców p. Gliksmana.

Potępiwszy wszelkie projekty emigracji żydów z Polski i osiedlenia ich na roli, stwierdza p. Gliksman wobec czytelników swej francuskiej książki, że żydzi pozostać muszą w Polsce w roli ludności miejskiej.

Jakżeż więc sobie poradzić z położeniem gospodarczem żydowstwa?

W ramach obecnych stosunków dałoby się położenie żydów poprawić tylko w niewielkim stopniu. „Odpowiednia polityka rządu mogłaby przyczynić się do podniesienia całej ludności pod względem gospodarczym i socjalnym i w ten sposób ułatwiłaby równocześnie położenie żydów".

Tak więc:

„poza ogólnemi warunkami gospodarczemi *régime* polityczny i stanowisko władzy wobec zagadnień mniejszości narodowych, a w szczególności wobec mniejszości żydowskiej, mają dla żydów w Polsce doniosłość pierwszorzędną".

P. Gliksman jednak nie tai, że w obecnych warunkach nawet najprzychylniejsze odniesienie się rządu i społeczeństwa polskiego do żydów nie może radykalnie poprawić ich położenia. „W świetle naszej pracy rozwiązanie radykalne (podkreślenie p. Gliksmana) całokształtu tych zagadnień, które określa się mianem kwestji żydowskiej, nie wydaje nam się możliwe w społeczności kapitalistycznej, opartej na anarchicznej produkcji (znowu podkreślenie p. Gliksmana!)" I niżej: „Kwestję żydowską można rozważać jako szczegółowy wypadek wielkiego problemu bezrobocia i należy przyznać, że nie udało się dotąd ominąć tej strasznej klęski przy zachowaniu zasad wytwórczości indywidualnej".

Ewolucja żydów w Polsce musi zmierzać do zróżnicowania ich zajęć zawodowych. „Wobec tego" — kończy p. Gliksman swą pracę — „że przeszkody do takiego rozwoju są przedewszystkiem politycznej natury, wysiłki tych wszystkich, którzy na serjo pragną się przyczynić do rozwiązania problemu gospodarczego żydowstwa, winny rozwinąć się na terenie politycznym. Z wszystkich sił politycznych, działających w obecnej godzinie w życiu społecznem polskiem niema, jak sądzę, poza ruchem socjalistycznym (podkreślenie p. Gliksmana!), żadnego innego, któryby mógł skutecznie wprowadzić w życie zasady ustrojowe, na które wskazałem".

Oto dosadne wyjaśnienie przyczyn kooperacji „Bundu" z P. P. S. w interpretacji młodego uczonego żydowskiego!

Praca p. Gliksmana poprzedzona jest—jak wspomniałem — przedmowami dwóch profesorów uniwersytetu.

P. W. Oualid, profesor Sorbony, znany jest z propagandy zwiększenia osiedlenia żydowskiego w Polsce do 25% i usiłuje opinję publiczną Europy pozyskać dla hasła: chcecie się pozbyć żydów — to skoncentrujcie ich w Polsce.

Polecając w swej przedmowie dzieło swego ucznia czytelnikom, nie pokazuje wszystkich palców, lecz poprzestaje na wezwaniu Polski i żydów do zgodnej współpracy.

Drugi przedmówca, p. L. Hersch, profesor uniwersytetu w Genewie, autor wydanej w r. 1913 książki p. t. „Żyd — tułacz dzisiejszości", rozgadał się więcej, od swego poprzednika i powiedział parę rzeczy ciekawych.

Dwie polityki możliwe są — mówi prof. Hersch — ze strony Polski wobec żydów: polityka walki bezwzględnej albo polityka pojednania.

Z ukłonem w stronę polskiej cywilizacji wyklucza p. Hersch z arsenału walki pogromy i inne środki barbarzyńskie. Pozostają ograniczenia systematyczne, bojkot towarów i wyrobów żydowskich, ograniczenie lub zakaz dostępu do szkół, do urzędów, do organizacyj społecznych, szykany prasy i t. p.

„Naturalnie"—cytuję p. Herscha—„podobna walka nie obeszłaby się bez wielkich niedogodności. Zaburzyłaby życie gospodarcze kraju, które nie jest jeszcze dostatecznie ugruntowane, przyczyniłaby się do rozstroju ledwo ustabilizowanych finansów Rzeczypospolitej; kto wie, może wywołałaby zawikłania zewnętrzne?".

Panie profesorze! Czy pan zapowiada to z naukową ścisłością z wyżyn swej genewskiej katedry, czy pan... grozi, ulokowawszy się w dogodnem pobliżu Ligi Narodów?

Mniejszość żydowska nie jest — zdaniem prof. Herscha — niczem groźnem dla niepodległości państwa polskiego. Co więcej ona, jak nic innego, może uchronić Polskę od wojny z sąsiadami i zapewnić międzynarodową stałość w tej części Europy.

Współżycie braterskie z żydami nie sprzeciwiałoby się polskiej tradycji dziejowej. „Mówiono dawniej" — naigrawa się z nas p. Hersch, robiąc minę serjo do cudzoziemskiego czytelnika — „*civis Polonus natione Ruthenus*. My powiemy w tym samym stylu: *civis Polonus natione Iudaeus*".

Ani jeden, ani drugi z profesorskich przedmówców p. Gliksmana nie wspomniał ani słowem o... socjalistyczno-komunistycznych tendencjach pracy doktora Sorbony. Słusznie. Niech czytelnik myśli sam i niech zapełnia szczęśliwie lukę w swej wiedzy o żydach. W ten sposób plan skoncentrowania żydów w Polsce, propagowany przez prof. Oualid'a, natrafi na grunt bardziej podatny, bo naukowo obrobiony.

P. Gliksman i obaj jego patronowie uniwersyteccy powiedzieli dużo, bardzo dużo; powiedzieli może za dużo, a to wszystko po to, aby zakryć sprzeczności, powstałe dzięki temu, że nie wszystko mogli lub chcieli powiedzieć. I właśnie dlatego praca doktorska p. Gliksmana jest niezwykłem dziełem naukowem, odpowiadającem przedwiecznym wskazówkom mistrza Mojżesza Majmonidesa, który w równie objektywny sposób we wczesnem średniowieczu chrześcijańskiej Europie podawał... Arystotelesa.

HENRYK ROLICKI

MASONERJA I JEJ ZWIĄZKI MIĘDZYNARODOWE

SPRAWA „uznania“ W. Loży Wiedeńskiej przez Wielkie Loże innych państw, szeroko opisywana w cytowanej już na tym miejscu w poprzednich artykułach cennej książce dr. Hergetha, pozwala autorowi*) roztoczyć przed czytelnikiem szereg wiadomości, dotyczące Masonerji w poszczególnych krajach.

Sprawa „uznania“ loży nie jest czystą formalnością, bowiem uznanie dopiero loży pozwala jej utrzymywać z innemi lożami stosunki.

Loża wiedeńska rozesłała do wszystkich W. Lóż pismo, w którem prosiła o uznanie jej, w dn. 6 czerwca 1918 r. Jest rzeczą charakterystyczną, że ze wszystkich W. Lóż ostatni, bo dopiero w dwa lata potem, 23 maja 1921 r. nadesłał Loży Wiedeńskiej uznanie Niemiecki Związek Wielkich Lóż.

Dlaczego Związek Niemiecki nadesłał tę odpowiedź tak późno? Dowiadujemy się o tem z późniejszych, wygłaszanych w lożach niemieckich mów i odczytów, odsłaniają zaś nam one motywy nader interesujące. Dn. 28 listop. 1923 r. dyr. Henzel, członek loży „Scharnhorst“ miał w loży odczyt o B'nei B'rith. W odczycie tym mówił o tem, że w 1920 r. Wielka Loża Saska postanowiła odmówić uznania W. Loży Wiedeńskiej i zachowywać wobec niej jak największą ostrożność, a to dlatego, że, według postanowień Niemieckiego Związku Wielkich Lóż, do żadnej z niemieckich W. Lóż, ani do lóż im podległych, nie mogą należeć członkowie żydowskiego zakonu B'nei B'rith, którzy, należąc do lóż chrześcijańskich „widzą co się w tych lożach dzieje, podczas gdy same loże B'nei B'rith są dla chrześcijan zamknięte“. — „Musimy czynem dowieść“, pisał inny brat z lóż niemieckich, że Wolnomularstwo nie znajduje się w rękach żydowskich. Bracia z B'nei B'rith znaleźli w loży wiedeńskiej szczelinę, którą wciskają się do lóż niemieckich. „Loża Wiedeńska poddana jest silnie wpływom żydowskim, propozycja ich (uznania ich przez loże niemieckie) jest atakiem żydowstwa na niemieckie wolnomularstwo i musimy atak ten odeprzeć“.

Wszystkie te protesty nie osiągnęły rezultatu, żydzi odnieśli zwycięstwo i W. Loża Wiedeńska została przyjętą zarówno do Niemieckiego Związku Lóż, jak i do Związku Niemieckiego Wolnomularstwa, (ten ostatni, jest to Związek zajmujący się propagandą zasad wolnomularskich wśród profanów zapomocą prasy, i spełnia te zadania, których loże nie chcą spełniać otwarcia. Należy do niego około $^1/_5$ część niemieckich wolnomularzy, t. j. około 30.000 członków, w czem większość żydów).

Wcześniej jeszcze uznaną została W. Loża Wiedeńska przez Nieregularny Związek Wolnomularski „Pod Wschodzącem Słońcem“ w Norymberdze. Związek ten stanowi bowiem część niemieckiego Wolnomularstwa, najbardziej zbliżoną co do charakteru do Wolnomularstwa austrjackiego, równie, jak ono, radydalną, postępową i zażydzoną.

Obok Związku „Pod Wschodzącem Słońcem“ w Norymberdze istnieją w Niemczech inne jeszcze luźne Związki masońskie, jak np. *Odd Fellow Orden*, jak Złączony Stary Związek Druzdów i t. p.

Nie posiadamy żadnych wiadomości o stosunkach Loży Wiedeńskiej z Wolnomularstwem angielskiem, natomiast udało się małej Loży Wiedeńskiej uzyskać b. szybko najpotężniejszy odłam Masonerji, jakim jest Masonerja St. Zjedn. Półn. Ameryki, gdzie W. Loża Nowojorska liczy 967 lóż i 320.000 członków w stopniu mistrza, uczniów bowiem i czeladników już się nawet nie liczy. W. Loża Nowojorska nawiązuje chętnie stosunki z lożami Europy, ale stawia pewne warunki: trzymanie są zdala od polityki i odbywanie prac w imię Wielkiego Budowniczego Świata. Na stole podczas zebrania leżeć winny Biblje, jako „jedno z trzech wielkich świateł“ Masonerji i jako protest przeciw stanowisku Kościoła Katolickiego, który nie pozwala członkom na swobodne czytanie i interpetowanie Biblji.

Specjalnie bliskie stosunki utrzymuje W. Loża Wiedeńska z Masonerją Francuską. Jest to Masonerja, jak widzimy z rozrzuconych w książce dr. Hergetha wzmianek, bardziej materjalistycznie i ateistycznie nastrojona, aniżeli Masonerja innych krajów i najmniej objawiająca niechęci do żydów, o czem świadczy zarówno uznanie przez nią „Nieregularnego Związku Wolnomularskiego pod Wschodzącem Słońcem w Norymberdze“, jak szybkie uznanie W. Loży Wiedeńskiej. Jest to zarazem, jak ją nazywają sami masoni, Masonerja triumfująca, która „kieruje, czem my kierować powinniśmy, i tam działa, gdzie my mówimy“. W polityce dąży ona do „zbudowania mostu między Niemcami a Francją“. Cel ten przeprowadzać ma przed innymi założona w 1906 r. w Paryżu, pracująca w języku niemieckim loża „Goethe“ (Z nazwisk członków tej loży wynika jednak, że zarówno jej Wielkim Mistrzem, jak i członkami, są sami żydzi). W późniejszych latach założyć miano drugą lożę, pracującą wprawdzie w języku francuskim, ale z możnością używania niemieckiego pod znamiennym tytułem: „*Gallia—Germania*“.

W 1926 r. Wielki Wschód Francji polecił zastanowić się swoim członkom nad kwestją, jak można uniknąć wojny, według schematu, który zasługuje na przytoczenie w całości. Schemat ów składa się z 7 punktów: 1) moralne rozbrojenie przez rozciągnięcie odpowiedniej cenzury na pisma i książki, 2) właściwe rozbrojenie (armja), 3) gospodarcze rozbrojenie przez kontrolę giełd handlowych i ograniczenie czasu pracy; 4) finansowe rozbrojenie; 5) wychowanie ludowe, międzynarodowy język, międzynarodowe związki sportowe, przedstawienia teatralne, które zapoznają z umysłowocią różnych narodowości, międzynarodowe biuro informacyjne; 6) działalność polityczna, powstrzymanie działalności kolonizacyjnej, utworzenie stanów zjednoczonych w poszczególnych częściach świata, 7) działalność sądownicza, międzynarodowe sądy dla sporów między narodami.

Z całego tego programu jedna rzecz uderzać musi najbardziej. Po raz pierwszy znajdujemy w pismach Masonerji wyraźne stwierdzenie, że ograniczenie liczby godzin pracy jest środkiem do gospodarczego rozbrojenia danego narodu, a zarazem programem Masonerji.

Masonerja włoska—Wielki Wschód i Wielka Loża—mająca tradycje irredentystyczne, nastrojona jest, jak się zdaje, bardziej narodowo, niż masonerje innych krajów. Dr. Hergeth przytacza interesujące opisy o stosunkach masonów włoskich do faszyzmu. „Ci, którzy mają nadzieję, że włoskie wolnomularstwo jest zniszczone, mieć będą gorzki zawód. Włoskie wolnomularstwo przetrwało najcięższy kryzys, nie ule-

*) Dr. Hergeth „*Aus der Werkstatt der Freimeurer und Juden in Oesterreich der Nachkriegszeit*“, 1927, L. Stocker, Gratz.

gło próbie i jest w stanie na gruncie nowego prawa (najcięższą rzeczą, jaką narzuca to nowe prawo, jest zgłaszanie nazwisk członków) swoje dzieło dalej prowadzić". Dr. Hergeth odnosi się bardzo sceptycznie do wzmianek, napomykających o zawarciu przez rząd Italji rodzaju układu i pokoju z Masonerją i nie wątpi, że bracia równie energicznie, jak dotychczas, zwalczać będą faszyzm.

Masonerja Jugosławji interesuje autora żywiej, niż inne, ze względu na wiążącą się z nią sprawę zabójstwa Arcyksięcia Ferdynanda.

Założoną została przez Wielki Wschód Włoski, potem, po przerwie w istnieniu, w 1885 r. przez żydów węgierskich. Wielkim Mistrzem był generalny dyrektor serbskiego banku, Weisert, który w roku 1903 należał do czołowych ludzi tajnej organizacji „Czarnej Ręki" i, jak świadczy Dobriwoj Lazarewic („*Die Schwarze Hand*, Lausanne 1927) brał udział w spisku, którego ofiarą padli król Aleksander i jego żona. Nie zepsuło to stosunków z lożą węgierską, zerwanie nastąpiło dopiero z powodu sprawy aneksji. Serbscy masoni utworzyli wtedy niezależną od Węgier W. Lożę Serbską, mówili w pismach o patrjotycznych uczuciach i narodowej dumie i o aneksji, jako o gwałcie, szydzącym z moralności i ludzkości. Gdy jednak w sierpniu 1914 r. proces przeciw mordercom arcyksięcia Ferdynanda wykazał pewien związek z tą sprawą wolnomularstwa wogóle, a wolnomularstwa serbskiego w szczególności, wówczas austrjacki organ masoński wystąpił w obronie wolnomularstwa serbskiego.

O dzisiejszych stosunkach lóż wiedeńskich do Jugosławji autor nie wspomina. Stosunki z Rumunją są bliskie, loże Bułgarji były przed wojną pod opieką Francji, w czasie wojny „zerwały w braterski sposób" te stosunki, zawiązały go jednak zaraz po wojnie.

Loże tureckie uznane zostały przez loże niemieckie w czasie wojny, po wojnie nastąpiło zbliżenie się lóż tureckich do Francji, ale stosunki z lożami niemieckiemi zostały dobre.

Wielka Loża Węgier jest od 1926 r. rozwiązana. Nie znaczy to, jak mógłby sądzić profan, że nie istnieje. Nie posiada tylko praw, ale istnieje, czekając, aż rząd uzna ją za legalną.

Czechosłowacja ma dwie masonerje, czeską i niemiecką. Należy do niej mnóstwo żydów, wchodzących w skład B'nai B'rith, ma więc charakter podobny do masonerji wiedeńskiej. Nie przeszka jej to głosić haseł narodowościowych.

Cy Polska nawiązała stosunki z masonerją wiedeńską, autor nie umie powiedzieć, sądzi że tak, stąd że obie masonerje należą do Międzynarodowego Związku Masonerji. Loże w Polsce rosyjskiej („*W. Fr. Z.*" VIII n/5 s. 7), istniały od 1909 r., nową erę rozpoczął dla nich rok 1919, w 1921 r. było 10 lóż w Warszawie i 1 w Wilnie, dziś jest 13 lóż i jedno „kółko" we Lwowie, w 1921 r. pozostała wielka Loża, uroczyście otworzona w 1924 r. na podstawie patentu, który wydał ją jeszcze w 1922 r. Konwent Lozański Lóż Rytuału Szkockiego, uznając ją za *Suprême Conseil* dla Polski. Nazwa jej oficjalna brzmi: „Narodowa Wielka Loża Złączonej Polski". Mistrzem jest brat Stępowski, kalendarz Daleva na rok 1927 uważa jednak wciąż jeszcze za Mistrza Andrzeja Struga.

Na ziemiach Polski istnieje prócz tego „Związek niemieckiego wolnomularstwa w Polsce", z siedzibą w Poznaniu, liczący w dawnym zaborze pruskim 15 lóż, podległych teraz staropruskim lożom w Berlinie.

Próby zatarcia podziału, jaki wywołała między wolnomularstwem romańskiem i niemieckiem wojna, wychodziły, jak dotąd, zwykle z Szwajcarji, w której różne kierunki wolnomularstwa albo zlały się z sobą, albo przynajmniej porozumiały.

Po wojnie, t. zw. Kongres Ligi Narodów był pierwszem zetknięciem się pacyfistów na neutralnym gruncie. W czerwcu 1920 r. otrzymał Wiedeń od loży szwajcarskiej „Alpiny" zaproszenie na międzynarodowy kongres masoński, który miał się odbyć w Genewie. Za „Alpiną" stali bracia z Nowego Jorku, spodziewano się, że wezmą oni akcję w swe ręce. Państwa zachodnie potraktowały jednak myśl o kongresie z rezerwą, potem znów niemieckie loże zajęły oporne stanowisko, odbył się kongres przygotowawczy w Rzymie, potem w 21 r. w Genewie, ale reprezentowane były same prawie tylko państwa romańskie i południowej Ameryki. Utworzono jednak Międzynarodowy Związek Wolnomularstwa („*Associon Maçonique Internationale* = A. M. I."). Należące do niego państwa podpisały o ś w i a d c z e n i e, że odrzucają ducha zaborczego i zamachy na kraje centralne, wyrażają ubolewanie z powodu niesprawiedliwości popełnionych w czasie wojny i oświadczają, że nie solidaryzują się z winnymi.

Otóż ż a d n a z n i e m i e c k i c h l ó ż n i e p o d p i s a ł a t e g o o ś w i a d c z e n i a. Podpisały je natomiast: W. Loża Wiedeńska i Nieregularny Masoński Związek pod Wschodzącem Słońcem w Norymberdze.

Związek A. M. I., który kierowany jest przez Międzynarodowy Konwent, zbierający się co 3 lata, Komitet Obradujący, wyznaczony przez Konwent i składający się z 5-ciu członków i kanclerza (zarazem wydawcy kwartalnika i miesięcznika, z siedzibą w Genewie, urząd jest opłacany), zajmował się na zjazdach i zebraniach między innemi sprawą Węgier, sprawą cofnięcia się od związku N. Jorku i t. p.

Z ramienia Szwajcarów niemieckich podjęto w 1929 r. nową próbę utworzenia międzynarodowej organizacji masońskiej, zakładając *Internationale Freimauergesellschaft*, *Reunioin Internationale de Francmasons.* Weszły do niej Niemcy, Francja, Holandja i Szwajcarja. Belgowie natomiast odmówili.

Niezależnie od obu wspomnianych organizacyj powstała F e d e r a c j a M i ę d z y n a r o d o w a M a s o ń s k a d l a p o p i e r a n i a L i g i N a r o d ó w. Gdy zwracano uwagę, że istnieją już stowarzyszenia profanów o tymże celu, liczące w swym składzie wielu bardzo masonów, odpowiedziano, że w zakresie popierania Ligi Narodów nie można uczynić zbyt wiele. Czytelnikom „Myśli Narodowej" znane są rezolucje, jakie stawia odnośnie do Ligi Narodów Masonerja. Żąda ona mianowicie: aby międzynarodowy autorytet L. N. był poparty przez międzynarodową armję albo policję, aby należały do Ligi Narodów wszystkie państwa, aby delegaci nie byli przedstawicielami rządów, ale ludów albo przynajmniej parlamentów, aby istniał międzynarodowy pieniądz, aby państwa Europy utworzyły Stany Zjednoczone Europy, lub, lepiej jeszcze, Stany Zjednoczone całego świata. Związek Masoński Ligi Narodów winien tworzyć sekcje zawodowe. Z książki dr. Hergeth'a odnosi się wrażenie, że Federacja Międz. Masońska dla popierania Ligi Narodów stanie się terenem, na którym nastąpi zatarcie istniejącego wciąż jeszcze od czasów wojny rozdziału między masonerją romańską i niemiecką i zbliżenie obu odłamów.

MACIEJ WIERZBINA

WYSPIAŃSKI A WAGNER

Konrad: „A z tego nareszcie widzisz, żem artysta".
(„Wyzwolenie")

IV

MUZYCZNOŚĆ wiersza Wyspiańskiego i jego poetyckie obrazowanie zasługują ze wszech miar na specjalne studja. Spraw tych zaledwie dotknąłem. Należyte ich oświetlenie wymagałoby zawodowej wiedzy muzycznej i znajomości techniki malarskiej; tak opracowuje się już podobne tematy zagranicą. U nas doskonała rozprawa St. Witkiewicza: „Mickiewicz jako kolorysta" jest w swoim rodzaju unikatem.

Zjawiska estetyczne wypływające ze współdziałania sztuk, ująłem w pewne kategorje. Raz współdziałanie — to uwydatniłem najsilniej — jest bardzo zbliżone do poglądów Wagnera na dramat przyszłości: poeta i aktor wyzwalają i ożywiają sztukę plastyczną. W parze z tą funkcją artystyczną występuje zwykle swoista zasada Wyspiańskiego: „dramatyczność gruntu" — zwykle, lecz nie zawsze; czasami dramatyzowanie plastyki jest od gruntu niezależne (np. Niki w „Nocy Listopadowej").

Pozostaje jednak jeszcze wiele ujętych po malarsku postaci, scen, wizyj, pomysłów, które są poza nawiasem programowego dramatyzowania posągów i malowideł. Działał tu z jednej strony specjalny dar obrazowania poetyckiego na sposób malarski, z drugiej — wybitna skłonność do kształtowania pomysłów literackich według zapamiętanych dzieł sztuki plastycznej. Jednak wszelka klasyfikacja — sam najlepiej to rozumiem — opiera się wobec wielce skomplikowanych czynników artystycznych, na dość kruchych podstawach. Wszak postaci genetycznie odmienne, występują nieraz w tej samej płaszczyźnie. Wernyhora, związany z terenem zdarzeń a zarazem „wyzwolony" z obrazu, figuruje w tej samej galerji uosobionych „imaginacyj", co Hetman, Rycerz Czarny, Stańczyk i Szela.

Granice kategoryj zacierają się niekiedy zupełnie. Niweluje je nieokiełznana swoboda kojarzących się wyobrażeń, wspomnień, pomysłów, nastrojów. Czy nie należałoby wobec tego wyrzec się wszelkich prób klasyfikowania wizyj poetyckich? Sądzę, że nie. A to choćby dlatego, że w pewnych utworach przeważają te, w innych — tamte konstrukcje artystyczne, że często występują samoistnie bez rozluźniających je domieszek, tak iż w rezultacie można stwierdzić w twórczości poetyckiej autora „Akropolis" obok manifestacji wszechwładnej, niczem nie skrępowanej wyobraźni, niewątpliwe działanie przemyślanej logiki artystycznej.

*

Jednak pora już przejść do zagadnienia, które zbliży nas znowu do problematów wagnerowskich. Mam na myśli jeden z głównym czynników ideologji Wyspiańskiego, wyrażony symbolicznie przez zespolenie dwu postaci: „*Apollo — Chrystus*".

W II akcie „Wyzwolenia", w rozmowie z maską 16-tą, stwierdza Konrad z radością, że jest wolny i że nikt ducha jego skrępować nie zdoła:

„Gońcie mnie wy bez skrzydeł i wy ze skrzydłami, larwy piekieł, wy Erynje! Niedościgniecie mnie już Orestesem, którym ukląkł u ołtarza i któremu Bóg promienia swego użyczył". — „Rozumiesz" — zwraca się do maski — „rozświetlał mi w głowie Bóg, Apollo-Chrystus, i Erynje przechodzą mimo".

I zaraz potem dodaje: „Męka Orestesa przeszła nad całą ziemią mykeńską, zbrodnia Atrydów nad całem ciążyła miastem. A zwolony Orestes dał ziemi swojej uwolnienie od klątwy".

Już w 1910 r., w recenzji książki J. Kotarbińskiego o Wyspiańskim wskazałem analogję pomiędzy klątwą, która ciążyła nad ziemią mykeńską i klątwą poezji mesjanistycznej, ciążącej nad Polską, a uosobionej w „Wyzwoleniu" w postaci Genjusza. Konrad, który go unicestwił, przeciwstawiając mesjanizmowi ideę woli i czynu, Polsce chrystusowej Polskę realną — państwo, jako to, czem są i co mają inne wolne narody — miał wyzwolić, jak Orestes, ojczyznę od klątwy. Pogląd ten przyjął się w opinji literackiej, spopularyzowały go późniejsze studja prof. Sinki. Analogje: Konrad — Orestes, Polska — Mykeny, zaznaczone wyraźnie przez Wyspiańskiego, zachęciły do dalszych zestawień: Polska (naród) — Agamemnon, Genjusz (poezja mesjanistyczna) — Klitajmestra. I tutaj zaczęły się wątpliwości, sprzeciwy, zastrzeżenia. Snać zapominano, że Konrad — Orestes jest tylko metaforą artystyczną, a nie regułą o przystających trójkątach... Od porównania, które wyłoniła wyobraźnia poety, żądano niewłaściwie i zbytecznie matematycznej niemal ścisłości.

Sam Konrad z „Wyzwolenia" nie ma jasnej, zdecydowanej fizjognomji. Jest to postać złożona z samego autora, z Mickiewicza w kilku postawach (Gustawa, Konrada z III części „Dziadów", Wallenroda i wodza legjonu z 1848 r.) Orestesa, Prometeusza, a poniekąd i Hamleta.[1]) Zasadnicze intencje — idee tych postaci występują albo pospołu (nieraz są identyczne), albo raz jedna, to znów druga dominuje.[2]) Pozatem Konrad — Wyspiański utożsamia się w pewnym momencie z późniejszym wyrazicielem myśli i uczuć poety: — Harfiarzem z „Akropolis". To pozycję jego wikła i zacieśnia. Kto nie czytał „Akropolis", ten nie zrozumie słów Konrada o Apollinie — Chrystusie; będą dlań zagadką.[3])

---

[1]) Zwracam uwagę na podobieństwo legendy o Hamlecie z mitem o Orestesie. Wspomina o tem m. i. Kellner, którego Wyspiański cytuje w studjum o Hamlecie.

[2]) W rozmowie z maską 10-tą nazywamy Konrad te ideje czy też ich wyobrazicieli — „potęgami przemożnemi", u których „długo terminował", które władały jego myślą. Terminował jako czeladnik u mistrza, lecz czas mu wyzwolić się, usamodzielnić. Maska 10-ta rozumie to jednak w ten sposób, że Konrad walczy z przemożnemi potęgami i przez walkę pragnie się od nich wyzwolić. Wówczas Konrad zaprzecza: — nie chodzi tu o walkę. Konrad ma tylko „spełnić przenaczenie ich i swoje", wykradając „święty ogień, który tam płonie" (t. j. który jest w intencjach, w ideach tych potęg). I ma go dać tym, co „czekają ognia, żaru, który budzi, który daje siłę, moc, potęgę". Konrad-Wyspiański, poeta, artysta polski ma dać święty ogień przedewszystkiem Polsce, potrzebującej żaru, mocy, potęgi. Konrad-Wyspiański, wyzwalający się z terminu przemożnych potęg, a więc w „Wyzwoleniu" — z terminu u Mickiewicza, u Ajschylosa (Prometeusz, Orestes), Szekspira — spełnia przeznaczenie własne, jednak nie odrzuca nauki — idej mistrzów, lecz je rozwija i dopełnia wedle swojej własnej „świadomości i logiki artystycznej" Podobnie spełnia przeznaczenie innych „potęg", które władały jego myślą i wyobraźnią; Bolesława Śmiałego, św. Stanisława, Achillesa, Odysa itd.

[3]) Uprzedzenie późniejszych wypadków przez krótkie, tajemnicze ich zapowiedzi jest charakterystyczne dla twórczości Wyspiańskiego. Już na 6 lat przed napisaniem „Akropolis" zapowiedział Krak w „Legendzie I" „żywą pieśń" Wawelu i Katedry. Podobną zapowiedź dał Rapsod w „Legjonie": „To będzie wczas rano, to będzie wczas rano"... Monolog Konrada z „Wyzwolenia", wypowiedziany po pokonaniu Genjusza, a zaczynający się od słów: „Zawrót — tam lecę, kędy gwiazdy płyną — w rydwan wstąpiłem siłą" wyjaśnia się dopiero po przeczytaniu „Achilleis" jako parafraza słów Achillesa.

„Niedościgniecie mnie już Orestesem, którym ukląkł przed ołtarzem i któremu Bóg swego promienia użyczył“—mówi Konrad o daremnym pościgu Erynij, zwracając się do Maski 16-tej. Cóż z tych słów wynika? Że tym, który ukląkł przed ołtarzem, któremu „rozświetlał w głowie Apollo-Chrystus“ i który przez to dostąpił łaski wyzwolenia, nie będzie Konrad-Orestes-Wyspiański, lecz wyraziciel myśli i uczuć poety—Harfiarz, z późniejszego dramatu „Akropolis“. Harfiarza nie dościgną Erynje; pojawią się one w Akropolis, przebłagane i przemienione w Eumenidy i „przejdą mimo“, zapadając z orszakiem Nocy w podziemia Katedry Wawelskiej.

Zdawałoby się, że sprawa jest jasna, jednak poeta zaciemnia ją już o kilka wierszy dalej, zapewniając Maskę, że „zwolony Orestes dał ziemi swojej uwolnienie od klątwy“. Orestes, czyli Konrad — zwolony od klątwy? Czyżby autor zapomniał, że nie Konrada-Orestesa nie dościgną Erynje, lecz tego, któremu rozświetlał w głowie Apollo-Chrystus, t. j. Harfiarza.

Przedwczesne wprowadzenie motywu Apollina-Chrystusa i niebezpieczne operowanie ustawicznem przeobrażeniem jednej postaci w drugą—spowodowały to powikłanie. To też lepiej ocenia sytuację Maska 16-ta, kiedy na okrzyk Konrada: „jestem wolny od klątwy“ odpowiada z ubolewaniem i przestrogą (może z ironją): „Chcesz być wolnym“, i w tej chwili Konrad (autor) jakby sobie przypomniał, że to nie on, lecz Harfiarz będzie wyzwolony, traci pewność siebie. W głosie jego brzmi już niepokój: „Więc jest klątwa, która ciąży?“... A kiedy Maska czyni wyraźne rozróżnienie między nim, który nie jest wolny od klątwy, a Orestesem greckim, który był od niej naprawdę wyzwolony, Konrad woła: „Więc one przyjdą, przyjdą Erynje“. Wie więc, jakie jest jego przeznaczenie, straszne przeznaczenie konradowe, lecz równocześnie wie, jakie jest przeznaczenie Wyspiańskiego - Harfiarza t. j. wyzwolenie. I określa to natychmiast, zwracając się do Maski: „Ty wiesz? Ty sobie nie zdajesz sprawy z tego, co ty mówisz! Ty nie rozumiesz wszelkich konsekwencyj artystycznych. Ty nie wiesz nic więcej nad kilka słów... a każde z nich decyduje o mojem życiu“.

Jakich słów?—posłyszanych od Konrada o Apollinie-Chrystusie. A jakież to są te „konsekwencje artystyczne“, do których doszedł Wyspiański przez „świadomość artystyczną, logiczną w swoim artyźmie i niedowołalną“ [4]). Konsekwencją artystyczną jest spełnienie przeznaczenia własnego, t. j. przeznaczenia Wyspiańskiego, poety, artysty, i przeznaczenia wskrzeszonego mickiewiczowskiego Konrada w roli zbawcy narodu. Konrad z III części „Dziadów“ *redivivus*, Konrad „potęga przemożna“ spełni dzięki świadomości artystycznej Wyspiańskiego swe przeznaczenie, przeżyje jeszcze raz tragedje buntu, walki i klęski. Przeznaczeniem Wyspiańskiego, poety-artysty będzie własne wyzwolenie w roli Harfiarza przez Apollina-Chrystusa.

Konrad odniósł nad Genjuszem właściwie pyrrhusowe zwycięstwo. Modlitwa jego w chwili krótkotrwałego ukojenia nie była wysłuchana. Pochodnia, dana przez Hestję, zgasła na żelaznej pokrywie grobów wawelskich. Kiedy dusza Konrada, wyrażona symbolicznie przez pochodnię, straciła „żarów świętą siłę“, kiedy minął stan najwyższej egzaltacji, dającej chwilowe poczucie wolności, wtedy Konrad, który miał święcić noże na krwawą rzeź, zbrodnię—oszalał. Jak w III części „Dziadów“ popadł w moc złego ducha, tak w „Wyzwoleniu“ stał się ofiarą i łupem cór piekła i Nocy, strasznych Erynij.

Łaski bożej, objawienia dostąpił w „Dziadach“ przez modlitwę ks. Piotr, pokorny „s ł u g a d a w n y, g r z e s z n i k s t a r y“. Skoro suggestja Konrada mickiewiczowskiego na Wyspiańskiego była tak silna — czyżby przepiękna postać ks. Piotra miała pozostać bez wpływu? Łaski bożej, o którą prosił daremnie Konrad z „Wyzwolenia“, dostąpił Harfiarz w „Akropolis“. Objawienie Polski wyzwolonej i szczęśliwej sprowadził gorącemi modły psalmista, grający na przyjście Apollina-Chrystusa — „w g r z e c h a c h g r z e s z n y“, kajając się z dawnych przewinień i zbrodni.

Czem był w rozwoju myśli poety dramat, nazwany „Wyzwoleniem“? Czy wyzwoleniem Konrada? — Nie. Czy wyzwoleniem narodu i spełnieniem zapowiedzi: „z tej ziemi państwo wskrzeszę“?—Także nie. Było to tylko wyzwolenie społeczeństwa z trującej ułudy mesjanizmu i poezji, przysłaniającej hańbę bezczynności i niewoli. Konrad spełnia poniekąd wobec współczesnego pokolenia podwójną misję wychowawczą: pozytywnie—przez pokonanie Genjusza, ale i negatywnie przez wykazanie na własnym przykładzie, że ci, którzy są z rodu Prometeusza — „zapalają płomienie, przy których gasną sami“ (akt III, głos 2). Jak ongiś Gustaw z „Dziadów“, tak i on przeżywa trzy godziny, z których ostatnia jest godziną „przestrogi“ [5]). Bo i do Konrada z „Wyzwolenia“ (również do Konrada z III części „Dziadów“) można zastosować słynną tezę Wyspiańskiego, wyłożoną w studjum o Hamlecie:

„Nie ludzie rządzą światem—Chcesz czynić podobnym Bogu człowieka? Zbliżyć do Boga? M i e c z s ą d u c h w y t a s z d o r ę k i?—Zjawia się oto p r z e s t r o g a: Żar święty, co w Tobie płonie — już całym spala się blaskiem—Bogowie cię darzą oklaskiem, lecz okręt twój w fali zatonie... Lecz iżeś zaważył dusze—samegoć zwalę i zniszczę“.

Otóż ta przestroga: „z drogi mylnej zwraca, co było brudnych piór, duch je utraca — i na lot wyższy skrzydła swe roztacza — inaczej widząc to, co go otacza“ (studjum o Hamlecie). Z mylnej drogi pychy Konrada zawrócił się Mickiewicz, tworząc pokorną postać ks. Piotra. Z mylnej drogi Konrada, co „krzyż przeklął, Chrystusa godło“ zawrócił Wyspiański, tworząc postać Harfiarza, który nie chce czynić sądu nad światem i ludźmi. „Na wrogów mych nie będę biadał, nie będę ścigał winnych. W tobiem ufności nie poskładał“...

Konrad przeklął poezję: „Poezjo precz... Jesteś tyranem,“ lecz nie wyszedł z kręgu jej czarów. Harfiarz wzywał Boga: „Moc pieśniom wskrzesisz Mocarzu“ i pieśni jego spełniły się czynem: Chrystus-Salvator, Siła, moc — zmartwychwstał. Apollo zdruzgotał symbol śmierci, trumnę św. Stanisława. Naród wyzwolony.

Konrad przyrzekł robotnikom w teatrze, że kościół, zamek, mogiłę nie tylko postawi, ale i zburzy. Nie zburzył. Dopiero w „Akropolis,“ pod kopytami centaurów Apollina „kamienie kolumn się walą“... [6])

PRZEMYSŁAW MĄCZEWSKI

---

[4]) Por. rozmowę z maską 17-tą.

[5]) „Wyzwolenie“—Konrad: „Minęły moje trzy godziny“ — Reżyser: „W tej pustce—oto mija godzina przestrogi“...

[6]) Słoneczna wizja wjeżdżającego na rydwanie Apollina przypomina wspaniały obraz wschodu słońca w I akcie drugiej części „Fausta“ Goethego: — „*Ungeheures Getoese verkuendet das Herannahen der Sonne — Ariel: „Horchet! horcht dem Sturm der Horen! — Toenend wird fuer Geistesohren—Schon der neue Tag geboren—Felsentore knarren, rasselnd—Phoebus Raeder rollen prasselnd, — welch Getoese bring das Licht. — Es trommetet, es posaunet—Auge blintzt und Ohr erstaunet*“...

GŁOSY

WOJNA I POKÓJ

KONFERENCJA haska i ostatnie Zgromadzenie Rady Ligi Narodów oraz wyniki tych narad, zmuszają do głębszego wejrzenia w ducha okresu powojennego współczesnej Europy.

Tragedją Europy powojennej, Europy dzisiejszej, tej rzekomo pacyfikującej, która poniosła tyle ofiar celem uśmierzenia mącicieli i odparcia rozboju, a dziś zajmuje się zacieraniem skutków wojny i utrwalaniem pokoju — jest to właśnie, iż mniema ona, że wojna całkowicie i zupełnie zakończyła się, po czterech latach krwawych zapasów i zmagań się, w Roku Pańskim 1918. W mniemaniu tej Europy przeżywamy teraz okres „likwidacji następstw“ Wielkiej Wojny, okres stopniowej i mniej lub więcej konsekwentnej pacyfikacji świata. I oto zapanowała psychika tych, którzy dążąc do pokoju za wszelką cenę, przed zakończeniem wojny, zakończyli ją; psychika tych, którzy przed laty szesnastu wogóle nie wierzyli w możliwość wojny, a po latach szesnastu i po czteroletnim krwi rozlewie, nie nauczywszy się niczego nawet we wstrząsającym kataklizmie dziejowym, dziś ponownie napełniają się rozkoszną wiarą w wieczystość pokoju. Oni to umysły własne i bliźnich swoich wytrwale i uparcie kołyszą do snu pokojowego.

Jeszcze w roku 1915 wypowiedzine zostało zdanie: wojnę tę wygra ta strona, której nerwy okażą się wytrzymalsze, wytrwalsze, jest to wojna na przetrzymanie. Prof. Stefan Dąbrowski określił tę wojnę jako wojnę na wyczerpanie rezerw ludzkich—ale możnaby i należałoby też ją określić jako wojnę na wyczerpanie ducha, charakteru.

Z pośród narodów walczących, ludy koalicji wygrały tę wojnę na polach bitew. Niemcy uległy wyczerpaniu rezerw. Niemcy musiały skapitulować w starciu orężnem, ale Niemcy nie uległy wyczerpaniu ducha i dlatego mogły poprowadzić walkę na innych polach.

Ludy, wojska koalicji wygrały wojnę w orężnem starciu, ale nie wygrały jej i nie rozegrały ostatecznie rządy koalicji. Dyplomaci, politycy, kierownicy państw, a również i przedstawicielstwa narodowe nie miały i nie mają tej siły nerwów, tego hartu i wytrwałości, jasności i głębi spojrzenia, którą mieli wodzowie zbrojnych zastępów i szeregi, nieprzeliczone masy żołnierskie, wielomiljonowe rzesze ofiarnych bojowników. Kierownicy państw koalicyjnych ulegli nagół wyczerpaniu ducha i pozwolili się opanować złudzie pacyfistycznej.

Ulegli złudzie tem bardziej złudnej, że nie tylko wróg z jego duchem i charakterem nie został pokonany, ale wojna, która się miała zakończyć przed laty blisko jedenastu, nie zakończyła się i trwa, trwa do dziś dnia i trwać jeszcze może długo. Traktat Wersalski, wraz z innemi dodatkowemi, towarzyszącemi mu, stał się tylko krótkotrwałem zawieszeniem broni — a przedewszystkiem punktem zwrotnym w przekształceniu walki. Jesteśmy tylko w nowej fazie wojny, fazie, która rychło z dyplomatycznej może się stać znowu orężną, niestety może nawet stać się będzie musiała, wobec tego, że ci sami, którzy rozpoczęli wojnę i poprowadzili ofensywę w roku 1914, prowadzą ją i dziś—i trzeba przyznać, prowadzą ją umiejętniej i z lepszym skutkiem, aniżeli przed piętnastu laty. Pycha, która im w on czas przysłaniała rzeczywistość, zmalała, a przynajmniej przekształciła się i w znacznym stopniu ustąpiła z pola codziennych operacyj. Jeżeli prawdą jest, że Niemcy przegrały wojnę w pierwszym, orężnym jej okresie, nie tyle wojskowo, ile w swej dyplomacji przedwojennej i wojennej, to w każdym razie postanowiły ją wygrać w nowym okresie dyplomacji powojennej i trzeba raz jeszcze przyznać, że walkę prowadzą nad podziw umiejętnie, jak dotąd stale zwycięsko. Może właśnie dlatego odnószą zwycięstwa, że oni jedni, Niemcy, w całej pełni i jednolicie w całem swem kierownictwie i całą masą swego narodu, zdają sobie sprawę, że wojna się nie skończyła, że toczy się dalej, że jesteśmy tylko w nowym okresie tej walki, która się zaczęła w r. 1914, a przygotowywała się w poprzedzającem pięćdziesięcioleciu, zbrojnego pokoju. Co więcej, oni jedni nie chcieli zakończenia tej wojny w Traktacie Wersalskim, oni jedni postanowili ją prowadzić dalej, choć w nowych warunkach i zmienionemi środkami. Oni nie chcieli uznać się za pokonanych i nie uznali się;—rezerwy ich ducha nie zostały wyczerpane.

Niemcy mają inicjatywę. — Niemcy prowadzą ofensywę,—front ich jest jednolity. Udało się Niemcom dokonać wielu rzeczy z tych, których dokonać nie mogli przed i w czasie wojny orężnej. Wysuwając czynniki gospodarcze, uderzyli w najsłabszą stronę dzisiejszej Europy, — rozbili jedność koalicyjną, — uśpili ducha czujności,—z wyklętego mąciciela pokoju stali się pożądanym współtowarzyszem w Lidze Narodów, w pokojowym warsztacie. To, czego nie zdołały dokonać w ostatnim okresie walki orężnej rozpaczliwe noty Wilhelma, dokonane zostało teraz, prawie cały świat uwierzył w pokojowość Niemiec, a przynajmniej rządy państw tego świata tak postępują, jakby w to wierzyły. I oto ci, którzy jedni mają mocną decyzję w chwili odpowiedniej zamienić walkę dyplomatyczną na walkę orężną, gorliwie majstrują około „pokoju“ popierając moralne i faktyczne rozbrojenie świata, — kiedy się sami gorliwie choć z cicha zbroją.

„*Si vis pacem para bellum*“ mawiali Rzymianie; — tak, wiele państw kierowało się i musiało się kierować tem hasłem: „Chesz mieć pokój, gotuj wojnę“, ale wobec zmienionego ducha czasu, wobec wyczerpania rezerw ducha w Europie powojennej, wobec wiewu pacyfistycznego, nie wyczerpane w swoich rezerwach Niemcy, pod przewodem zmarłego właśnie laureata Nobla, Stresemanna, w ukryciu swoich myśli postawiły zasadę, dla oczu doktryną nie zaślepionych aż nadto widoczną: „Chcesz mieć wojnę, majstruj pokój“!

Stresemann majstrował pokój, gotując wyraźnie wojnę. Duchy Wielkiego Elektora, Fryderyka II-go, Bismarcka i Stesemanna czuwają nad Niemcami...

A tymczasem poprzez wojnę dyplomatyczną idzie wojna orężna, idzie wielkiemi krokami, zbliża się już jej groźna, tajemnicza postać, tem groźniejsza, że dla wielu tak niedostrzegalna, że skrada się ona zcicha jak skrytobójca, że wyciąga swoje ramiona nad zaczadzoną pacyfizmem Europą. Może widmo jej jeszcze pierzchnie — ale jeżeli pierzchnie, to w każdym razie nie od zamawiań i guseł lokarneńskich, nie od targów haskich, nie od szumnych przemówień genewskich, — ale od śmiałego i jasnego spojrzenia niebezpieczeństwu w oczy, od mocnej i wytrwałej woli obrony dzisiejszego porządku rzeczy, ustalonego w Wersalu, obrony pokoju na każdym kroku, w toku dziś jeszcze toczącej się wojny, choćby z poświęceniem najdalej idącem tych wszystkich, którzy Traktat Wersalski zdobywali.

LUDOMIŁ CZERNIEWSKI

NAUKA I LITERATURA

O POLSKICH ZWYCZAJACH I OBYCZAJACH

ŻYWYM obrazem charakteru narodu jest książka Marji Dynowskiej „Polska w zwyczajach i obyczajach“, wydana nakładem księgarni Gebethnera i Wolffa. Nie jest to studjum naukowe, ale zbiór fragmentów z utworów pisarzów polskich, które ukazują w czterech porach roku życie ludu, mieszczaństwa i ziemiaństwa w różnych dzielnicach dawnej Polski, a nawet przejawy życia polskiego na obczyźnie, gdzie losy garstkę Polaków zagnały. Widać, jak dawniej wyglądał Adwent, Roraty, Wigilja i Boże Narodzenie, choinka, szopka i kantyczki kolendowe, jasełka, pastorałki góralskie, przędzenie lnu na wieczornicy, święto Matki Boskiej Gromicznej, zapusty, szlichtada, tańce, kulig, wreszcie popielec i post.

Barwnie przedstawia się myśliwstwo w zimie, w opowiadaniach K. Wł. Wójcickiego, Pola, Sienkiewicza, Weyssenhoffa, okraszone piosenkami i przysłowiami myśliwskiemi. Wiosna trafnie scharakteryzowana jest fragmentami z książki Dygasińskiego o skowronku i bocianie. Następnie rozsnuwają się jeden po drugim widoki i nastrojowość święconego we dworze magnackim, we dworze ziemiańskim i w chacie wieśniaczej, doskonale dobranemi opisami z pod mistrzowskich piór Słowackiego, Chodźki, Reymonta. Dalej obrzędy wielkanocne i zabawy zwyczajowe w krakowskiem, jak naprzykład rękawka, Zielone Świątki, wianki, sobótki, święto Kupały; z nadmienieniem przysłów i przepowiedzi.

Wszystko, każdy fragment tej obyczajowości cenny, wierny, przytoczony z dzieł badaczów i miłośników przeszłości, Kitowicza, Gołębiowskiego, Glogera, Kolberga, Kraszewskiego.

Trzecią porę roku, lato, rozpoczyna w tym pięknym zbiorze wiersz Konopnickiej „Lipy kwitną“, poczem całość poświęconą latu dopełniają fragmenty poezji, czy to z „Pana Tadeusza“, czy utworów nam spółczesnych, Zawistowskiej, Dębickiego, obok utworów prozaików, poczytnej w dobie romantycznej pisarki Jaroczewskiej i późniejszej, Orzeszkowej. Znów, jak w kalejdoskopie przesuwają się przed oczyma czytelnika obrazy borów i sadów kwitnących, rojów pszczół z uli, dwory wśród pól uprawnych, a na ich tle żniwa, dożynki i połowy ryb w stawach, a z ostatniego dziesiątka lat odrodzonej państwowości polskiej—echo morza.

Wreszcie jesień. Polowanie na kuropatwy, zające, wilki, dziki i niedźwiedzie w górach. Mile kojarzą się z epizodami łowiectwa opisy zalotów i wesel, obrzędów i pieśni weselnych, jarmarku i siewu ozimin. Tutaj również umiejętnie i artystycznie dobrane zostały i przytoczone wyjątki z dzieł pisarzów, rdzennie polskich pisarzów, miłujących i rozumiejących piękno naszego krajobrazu, jak naprzykład urywek z wrażeń Witkiewicza „Na przełęczy“.

Książka Marji Dynowskiej „Polska w zwyczaju i obyczaju“ bardzo jest pożyteczna. W skrótach odtwarza przeszłość i obecną obyczajową rzeczywistość Polski, moc twórczą narodu, jego wiarę i fantazję. Dziś gdy lud zatraca swe dawne stroje, a słowo dawnej pieśni staje się pustym, martwym dźwiękiem, gdy pług „postępu“ zaoruje charakter krajobrazu, ten pokaz ginącej obyczajowości nabiera szczególnie cennego uroku i wdzięku.

ANTONI WYSOCKI

W SŁUŻBIE SZTUKI I POEZJI

ŹRÓDŁOWE dzieło do poznania dziejów sceny polskiej w okresie jej świetności, na przełomie ubiegłego i bieżącego stulecia, w ognisku „Młodej Polski“, w Krakowie, stanowi wydana z rękopisu (po śmierci autora) książka Józefa Kotarbińskiego p. t. „W służbie sztuki i poezji“. (Hoesick, 1929) niestety, nieukończona,

Kotarbiński zdaje w niej relację z pracy swej na stanowisku dyrektora teatru im. Słowackiego w Krakowie, w latach 1899—1905. Praca była chlubna i owocna. Arcydzieła romantyków naszych, oraz najznakomitsze dramaty Wyspiańskiego i jego współczesników ujrzały światła teatralne dzięki Kotarbińskiemu, którego programem było tworzenie teatru jako instytucji społeczno-narodowej, jako organu sztuki, związanej bezpośrednio z życiem.

Okres swoich rządów inaugurował „Złotą Czaszką“ Słowackiego, by odtąd wytrwale dążyć do inscenizacji arcydzieł wielkiej trójcy, wbrew opinji „rutynistów teatralnych“, uważających je za „dramaty książkowe“. Po „Złotej Czaszce“ nastąpił „Kordjan“, „Sen Srebrny Salomei“, „Lilla Weneda“.

„Dziady“ przygotował na scenę Wyspiański. Wystawiono „Nieboską“, „Odprawę Posłów Greckich“, „Wesele“, „Wyzwolenie“, „Bolesława Śmiałego“, „Protesilasa i Laodamię“, Przybyszewskiego: „Złote Runo“, „Matkę“, „Śnieg“, Tetmajera: „Zawiszę Czarnego“, Kasprowicza „Ucztę Herodjady“, Sofoklesa, Szekspira, Goethego, Ibsena, Hauptmanna, Rostanda. Był to klasyczny, wielki repertuar, który jednak nie przeszkadzał Kotarbińskiemu otwierać podwoi teatru dla młodych sił dramato-i komedjopisarskich polskich, tak, że na ogólną ilość granych sztuk połowa przypadała na utwory polskie.

Cenne są krytyczne uwagi o indywidualnościach aktorskich, grze w poszczególnych sztukach, wrażeniach widowni, autorach i krytykach — to wszystko, co nagie fakty otaczało wilracją życia. Dla kierowników scen warszawskich pouczające są porównania wystawienia tych samych sztuk na scenie krakowskiej i warszawskiej — dzisiejszej.

Książkę uzupełniła małżonka zgasłego artysty i dyrektora końcowym rozdziałem, list aktorów, grających w tym okresie na scenie krakowskiej i licznemi światłodrukami, przedstawiającemi najwybitniejsze siły aktorskie w rolach najbardziej efektownych. Wydano książkę bardzo starannie.

K.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Wyszła z pod prasy nowa książka literacka Zygmunta Wasilewskiego p. t. „Pieśń w górach“ (Nakładem Tow. Wyd. Patria. Skład głów. w księg. Ossolineum. Warsz. NŚwiat 69. Str. 172. Cena 5 zł.). Oprócz jednego rozdziału z r. 1907, wszystkie inne są z r. 1929. Najwięcej miejsca zajmuje studjum końcowe o J. G. Pawlikowskm. Całość wiąże się wątkiem wpływu gór na duszę ludzką i zagadnieniem stosunku kultury do natury. Po przedmowie, uzasadniającej związek rozdziałów, następuje obraz ludu pokuckiego, potem ludu w Beskidach Śląska Cieszyńskiego. Tragedja w górach muzyka Mieczysława Karłowicza przenosi nas w sferę sztuki. Potem następuje szkic literacki o poetach tatrzańskich, wreszcie portret człowieka na wyżynach kultury — uczonego, taternika, badacza literatury i poety Pawlikowskiego.

*

Nakładem księgarni F. Hoesicka wyszła książka Anny Leo, nosząca tytuł „Wczoraj“. Autorka jest córką Edwarda Leo, niegdyś redaktora „Gazety Polskiej“, zaszczyconej tem, że na jej łamach ukazało się po raz pierwszy „Quo vadis“ Sienkiewicza (1895). Sam Leo był przyjacielem serdecznym Sienkiewicza, a żył w zażyłości mniejszej lub większej z Henkielem, Prusem,

Gawalewiczem, Kotarbińskim, Kenigem oraz całą elitą ówczesnej Warszawy literackiej, bratając się i z literatami za kordonu, Asnykiem, Estreicherem, Kościelskim, Zacharjasiewiczem. To też we wspomnieniach Anny Leo dużo jest wzmianek o tych pisarzach, a o Sienkiewiczu najwięcej; są i szczegóły ciekawe, np. o tem, jak autor „Pana Wołodyjowskiego" przy pomocy figurek z chleba uplastyczniał sobie planowaną scenę, jak „Azja zarżnął Nowowiejskiego". Ciekawe są też wspomnienia, poświęcone Konopnickiej. W innych częściach książki— mniej już ciekawych — opowiada autorka o życiu Warszawy *ex tempore illo*: tej „Warszawki", która umiała się bawić i żyć beztrosko i tej Warszawy, która żyła konspiracją i cierpiała prześladowania moskiewskie. Te właśnie podziemne i ściśle wewnętrzne dzieje stolicy polskiej mniej były znane autorce, która czynnego udziału w nich właściwie nie brała. Jednakże uczucia gorące, patrjotyczne ożywiają całą książkę, która miałaby większą jeszcze wartość, gdyby wolna była od tonu gawędziarskiego, łączącego się ze spłowiałym nieco patosem retorycznym.

*

Włoska laureatka nagrody Nobla, Grazia Deledda, godna jest poczytności, jaką sobie — i w Polsce — zdobywa. Już drugą jej powieść w pięknym przekładzie Staffa ogłasza poznańska „Bibljoteka Laureatów Nobla", za każdym razem na czele tomu stawiając równie piękne słowa wstępne Stanisława Wasylewskiego. Z tych przedmów dowiadujemy się sporo szczegółów o życiu pisarki i jej dorobku powieściowym, na większą jednak uwagę zasługuje arcytrafna charakterystyka jej twórczości. Porównał ją Wasylewski z Rodziewiczówną „ofiarną wychowawczynią niepoliczonych rzesz czytelników" i to ze względu na cechy artyzmu (nb. tak przeoczane lub przemilczane przez krytyków piszących o Rodziewiczównie), jak i na sam zakres tematów. „*Pittura di cose semplici* — malarstwo spraw prostych, codziennych, bez uciekania się do gwałtownie sensacyjnych wątków romansowych—oto ambicja autorki". I w tem właśnie malarstwie jest mistrzynią. Złota kukurudza, stanowiąca codzienną strawę wielu okolic Włoch, staje się w powieści „Annalena Bilsini" istną manną cudowną, o której godziłoby się pisać poemata. Codzienne i pospolite „losy poczciwej rodziny" Bilsinich stają się pod piórem pisarki czemś wielce interesującem, wielce nam bliskiem. Prawda, że są wśród nich doskonale zarysowane postaci, z których wyróżniają się zwłaszcza stary kawaler stryj Dionisio, młody junak Pietro i świętoszkowaty Baldosama Annalena, babka rodu, wydana wcześnie za mąż, więc jeszcze niestara kobieta, ba, wzbudzająca nawet pewne uczucia, bardziej namiętne w żonatym Urbanie, jest również postacią wyraziście i prawdziwie narysowaną. Z innych postaci wbija się w pamięć zwłaszcza żebrakwłóczęga Pinon, często bywający w domu Bilsinich.

Akcja powieści, choć niebardzo zawikłana, jest pełna żywości — nietylko dzięki żywemu, włoskiemu temperamentowi osób, ale też dzięki umiejętnym kontrastom i wprowadzeniu kilku jednocześnie wątków romansowych. Zresztą akcję stanowi też i — praca na roli. Książka cała jest tej pracy pełna: prawdziwe to jakby „*Georgica*", poemat o trudach wieśniaka włoskiego pod zawołaniem: „*Italia, frugum mater, salve!*" To uwielbienie pracy, oraz tendencja moralna przebijająca z całego dzieła, to też rys wspólny w Rodziewiczówną. Nadmienić warto, że w powieści tej „dziejącej się dziś", wspomniane jest — acz mimochodem — nazwisko Mussoliniego, człowieka, który próżniaczych Włochów nauczył... pracować.

*

Ostatnio wydana książka Jana Wiktora „Gołębie przy kościele" (Kraków, nakład drukarni „Czasu") ma wiele wspólnego z przepiękną „Tęczą nad sercem" tegoż autora. Scenerję opowieści tak samo stanowi tu fronton kościoła oraz domy miasta, w którem bez trudu można rozpoznać Kraków. To tło lokalne jest w „Gołębiach" nawet wyrazistsze i bardziej scentralizowane; wszystko bowiem dzieje się tu na małym placu Marjackim, zamkniętym z jednej strony kościołem Marjackim, z drugiej zaś fasadą kościoła św. Barbary ze śliczną rzeźbą Wita Stwosza, przedstawiającą Chrystusa w Ogrójcu. Ta rzeźba staje się dla Wiktora jakby symbolem wszelkiej męki, wszelkiego poświęcenia, jakby ogniskiem mistycznego zespołu postaci — malowanych na szkle, kamiennych i żywych — które otaczają świątynie. Licznie gnieżdżące się na Marjackiej wieży gołębie, które Wiktor często porównywa z splącem się kwieciem, są raz uosobieniem gorącej miłości, to znów gołębiej prostoty. W całym utworze — który poematem lirycznym zwać się godzi — dominante stanowi nuta franciszkańska, która zresztą u Wiktora nie pierwszy raz przychodzi do głosu: dość wspomnieć „Tęczę", „Przez łzy" oraz drukowany w „Myśli Narodowej" fragment o pustelniku pienińskim. Książka ładnie wydana jako prezent dla bibljofilów, zebranych na zjeździe poznańskim.

*

Ukazała się w księgarniach broszura Artura Górskiego. „List do nauczyciela w sprawie szkoły antyreligijnej". Warszawa — wrzesień 1929. Cena 75 groszy. Autor bierze pod światło rozważań jeden z dokumentów agitacyjnych za szkołą, antyreligijną. Przytacza w tym celu na początku swego pisma streszczenie odczytu propagującego taką szkołę wśród nauczycieli szkół powszechnych, — i podaje dyskusję, jaką rozwinęła się wśród zebranych. Prelegent, sam nauczyciel, poucza swoich słuchaczów, że religja jest w sprzeczności z nauką, a kościół jest ponadto czynnikiem politycznym, wrogim dla mas pracujących. Trzeba tę religja i ten kościół zwalczyć w życiu, i w tym duchu trzeba posługiwać się szkołą, by urobić młodzież do tej walki. Obowiązkiem przeto nauczyciela i jego programu winno być prowadzenie walki antyreligijnej, ale prowadzenie taką metodą, żeby „nie narażać się na represje". Terenem tego laboratorjum jest głośna szkoła dla nauczycieli (t. zw. „Spasowiaków") i praca ta trwa od lat (jak to wyznaje prelegent „O szkole antyreligijnej"), autor jednak Listu, nie wymieniając ani szkoły, ani prelegenta, zwraca w swem piśmie do nauczyciela. Treścią listu jest obalanie twierdzenia, że religja jest sprzeczna z nauką. Broszura Górskiego powinna zainteresować szersze koła, mające czucie ze sprawą wychowania i oświecenia, która to sprawa, jak wiadomo, nie kończy się na progu szkoły.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Wszyscy, którzy interesują się życiem i twórczością Leconte de Lisle'a, przeczytają z dużem zainteresowaniem ostatnią biografję, poświęconą mu przez Pierre Flottes. Autor ten już poprzednio wydał studja o Baudelairze i Alfredzie de Vigny. Biografja jednakowoż jego nie jest bynajmniej „romansowana", jakkolwiek ujęta w formę żywą, ale oparta na solidnej erudycji. P. Flottes odtwarza nam kolejno młodość autora „*Poèmes barbares*" i jego pierwsze marzenia, kreśląc następnie w sposób bardzo interesujący entuzjazm i rozczarowanie całej generacji z 1848—1870 r. Leconte de Lisle jednakowoż, pomimo wewnętrznego dramatu, zachowuje ogromną godność nietylko intelektualną, ale również i życiowo-polityczną.

*

W Walencji w Hiszpanji powstaje instytut Kultury religijnej, którego zadaniem jest szerzenie w społeczeństwie pogłębienia wiedzy religijnej. Instytut otwiera swe progi nietylko dla młodzieży uniwersyteckiej, o której w głównej mierze myślano lecz i dla innych osób interesujących się zagadnieniami teologicznemi i filozoficzno - scholastycznemi, jak również związanemi z Historją Kościoła, Prawem kościelnem i t. d. W pierwszym rzędzie mają wykładać profesorowie Chillida, Ferreres i Lauzurica.

*

Od niedawna z zadziwiającą szybkością zaczęła się rozwijać w Hiszpanji działalność wydawnicza. Objaw niespotykany obecnie w innych krajach. Możliwe, iż kraj nie zubożony materjalnie podczas wielkiej wojny, od której stał na uboczu, skuteczniej potrafi zużytkować swoją energję w kierunku rozwoju kultury narodu, zaniedbywanej i usuwanej na plan dalszy gdzieindziej, gdzie społeczeństwo dba przedewszystkiem o zapewnienie sobie najskromniejszego bytu, co oczywiście źle wpływa na pokup książek. Do najbardziej potężnych wydawnictw w Hiszpanji należy zaliczyć firmę Espasa-Calpe, która wydaje nietylko utwory literackie lecz i cały szereg innych książek z różnych dziedzin wiedzy, podręczników praktycznych, słowników encyklopedycznych i t. d. Inne poważne wydawnictwo założone przez niespełna dwoma laty „*Historia Nueva*" ogłasza przeważnie utwory literackie współczesnych autorów hiszpańskich i łacińsko-amerykańskich. Niedługo ma się ukazać pod tąż nazwą pismo, którego współpracownikami będą najwybitniejsi pisarze Hiszpanji i Ameryki (około trzystu nazwisk znanych na obu półkulach autorów). Kapitały każdej z wymienionych firm wydawniczych sięgają pół miljona pesetów.

*

Luis Bello, jeden z najwybitniejszykh pisarzy i publicystów hiszpańskich cenną, zwłaszcza dla pedagogów, książkę: „*Viaje por las escuelas de Espana*", w której opisuje swoje wrażenia z podróży, dokonanej celem zwiedzenia licznych szkół w całej Hiszpanji. W książce tej Bello nie zadowala się podaniem charakterystyki i koniecznych informacyj o poszczególnych szkołach, lecz szkicuje również w sposób bardzo interesujący sylwetki nauczycieli, dzieli się z czytelnikami wrażeniami artystycznemi, jakich doznał, oglądając różne krajobrazy, oraz notaje wiele innych godnych uwagi szczegółów. Od początku do końca treść książki czyni wrażenia barwnej, z prawdziwym talentem ułożonej mozaiki.

*

W wydawnictwie Salwat w Barcelonie ukazuje się poważna i ciekawa praca profesora Antonio Ballesteros Beretta „*Historia de Espana y su influencia en la Historia Universal*", która obemie kilka tomów. Zadaniem autora było wykazać szczególniej udział Hiszpanji w Dziejach powszechnych oraz wpływ jej na inne narody. Historykom przybywa nowy szereg tematów do dyskusji.

TEATR

„NIESPODZIANKA“ ROSTWOROWSKIEGO

KAŻDE dzieło Karola Huberta Rostworowskiego ma w swojem pojawieniu się coś świątecznego. Opinja publiczna wie o nim to jedno przynajmniej, że nie jest to ktoś powszedni: nie współzawodniczy w modzie, nie schlebia chwili bieżącej, nie odwołuje się do pospolitych potrzeb rozrywki, której gawiedź szuka w sztuce, lecz szuka z kimby mówić o zagadnieniach wiecznych, nastraja do patrzenia na życie ze stanowiska religijnego, robi miejsce w tem życiu naszem dla Boga. Takie rozwarcie ma jego kąt widzenia spraw ludzkich, do tego służy mu niepospolity talent poetycki. Człowiek z jakiejś innej epoki — czy zapóźniony, czy przedwczesny? Zdaje się zwiastować nowe czasy, które nadejdą.

O jego tragedji „Niespodziance“, którą teraz wystawił teatr Narodowy, informowaliśmy już czytelników „Myśli Narodowej“. W Nr. 8 z r. b. Rajmund Bergel pisał o niej, zanim ją ktokolwiek widział na scenie, według tego, co sam autor mu wyznał. A potem w Nr. 11 K. L. Koniński ogłosił obszerny artykuł bezpośrednio po premjerze w teatrze krakowskim. Zwalnia to mnie od prób oceny literackiej. O teatrze samym mówiąc, muszę najpierw zaznaczyć, że owa opinja Rostworowskiego, o której mówiłem wyżej, odstraszyła tę część publiczności warszawskiej, która w teatrze szuka uciechy, loże bowiem były puste. Sfery zamożne boją się odmian w horyzoncie — tak im dobrze, jak jest.

Scenę dźwigał na barkach Solski, jeden z niewielu artystów dzisiejszych, znających się na urokach wielkiej sztuki. Osiągnął zaś swój cel artystyczny w sposób prosty. Ponieważ autor postanowił, że nic nie doda, tylko pokaże fakt z życia wiejskiego w tej postaci, jak się stał, więc Solski postanowił, żeby się uzgodnić z autorem, odszukać w sobie chłopa, a zresztą zawierzyć się tekstowi. Wielkość aktorska Solskiego polega na bogactwie natury, że wogóle odnaleźć w sobie może prawdziwego człowieka, a w szczególności Polaka — chłopa czy reprezentanta wysokiej kultury. Był chłopem — nikt patrząc na niego, inaczej nie pomyślał.

O jego partnerce p. Broniszównie, artystce wielkiego zresztą talentu, nie da się tego powiedzieć; zabrakło jej organicznych warunków, aby mogła z siebie zrobić włościankę polską.

Co do ogólnego wrażenia trzeba stwierdzić, że kulminacyjny punkt tragedji mordowania syna przez rodziców, obgadany już w prasie jako anegdota i nie będący już dla widza „niespodzianką“, nie budzi przerażenia. Tem spokojniej wpatrywać się można w bogactwo drobnych faktów i rysów psychologicznych, któremi autor wspaniale swoje dzieło uwiarogodnił. Sam fakt stał się w rzeczywistości, ale nie każde zdarzenie starczy dla celów artystycznych. Trzeba je uwiarogodnić i na tem polega artyzm Rostworowskiego.

SPRAWA DR. HIERONIMA

W PRZECIWIEŃSTWIE do Rostworowskiego, który za temat wziął spotkany na drodze surowy fakt i ten wypromienił, — Stanisław Szpotański z promieni społecznych, jakie wydzielają z siebie pewnego typu nastawienia psychiczne, skonstruował zdarzenie, z którego — niby z założenia filozoficznego — snuje konsekwencje logiczne. Sztuka jego, grana w teatrze Nowym (scenka eksperymentalna przy teatrze Narodowym), nosi tytuł „Sprawa dr. Hieronima“. Dwa różne typy dramatu, jakbyśmy zestawili Dostojewskiego z Ibsenem. „Sprawa“ Szpotańskiego nawet przypomina nieco „Budowniczego Solnessa“.

Tezą sztuki tej jest prawda o człowieku społecznym. Bohater Hieronim, uczony przyrodnik, bardzo był logiczny, do tego stopnia, że popsuł sobie racjonalizmem instynkty, które człowiek zawdzięcza swemu pochodzeniu społecznemu. To, co ludzi Rostworowskiego doprowadziło do zbrodni, było rezultatem zezwierzęcenia. Wyjątkowe warunki nędzy i zdziczenia popędów sprawiły, że wyszli z formy społecznej — popełnili zbrodnię głuchą i ślepą. Tutaj człowiek oświecony truje żonę z wyrozumowania. Na dwu przeciwnych krańcach budowy społecznej dzieje się to samo. Dr. Hieronim też „ma ręce do siebie“, a Pan Bóg dla niego jest za daleko, aby mógł być jego sędzią. Człowiek sam sobie jest sędzią i silny jest tem właśnie, że jest sam. Wszystko, co robi, ma na celu, aby udogodnił sobie ten stan wolności.

Są w sztuce Szpotańskiego kapitalne sceny, ukazujące, co warte jest to rozumowanie wobec życia. Do takich scen zaliczam rozmowę filozofa Hieronima z człowiekiem „prostym“ w osobie naczelnika więzienia. Szpotański nie nuży ani chwili djalogami, tak są bystre i artystycznie celowe. Odsłaniają one przepaść przed człowiekiem doktryny, a z drugiej strony jedyny ratunek w dobrze funkcjonującem moralnie społeczeństwie. Bezsensowność i zbrodniczość stanowiska takich Hieronimów ujawnia się wtedy, gdy zyskują możność działania publicznego. Szpotański dla przykładu wyznacza swemu Hieronimowi rolę *speakera* w radjo-stacji. Co się dzieje, gdy wielkie zdobycze cywilizacji dostają się takie ręce! Szaleniec głosi koniec świata. Nastaje panika — całe życie społeczne zburzone. Bo dystans jednostki, zostawionej sobie, jest krótki i tylko życie zbiorowe ma cechy wieczności. Hieronim ujrzał koniec wszystkiego i to było jego szaleństwem.

Świetnie reżyserja teatru ten efekt końcowy uwydatniła. A pierwszy raz na scenie widzieliśmy działający aparat radjowy. Było tu symbolem danych człowiekowi środków działania.

Rozumną i dowcipną komedję Szpotańskiego odegrano doskonale. Pani Solska Grosserowa tworzy z siebie dzieła sztuki na tle każdej roli. Pani Dulębianka ślicznie mówiła, to samo p. Gawlikowski. Błogo jest słuchać muzyki słowa! Z wielką rozwagą artystyczną p. Brydziński kreował niełatwą rolę dr. Hieronima. Całość była bardzo interesująca.

Z. W.

PAN TOPAZ

BOHATEREM komedji Marcela Pognol'a, wystawionej w teatrze Polskim, jest nauczyciel etyki w prywatnej francuskiej szkole średniej, nazwiskiem Topaz. Etyka to przedmiot zastępujący w liceach laickich religję. Pan Topaz jest niejako świeckim katechetą, który wdraża synom wolnomyślnych burżujów wzniosłe zasady moralności. Uczy ich, że pieniądze szczęścia nie dają, że ubóstwo nikomu ujmy nie przynosi, że tylko uczciwość w życiu popłaca, że bogacz nieuczciwy jest nieszczęśliwym, ponieważ go dręczą wyrzuty sumienia. W wygłaszane maksymy p. Potaz wierzy głęboko. Jest wzorem człowieka cnotliwego. Z tego powodu nie chce się zgodzić na zyskowny kompromis z sumieniem, jaki mu proponuje dyrektor szkoły i wskutek tego p. Topaz traci posadę.

Ten pierwszy akt sztuki napisany jest wybornie. Iskrzy się doskonałemi dowcipami lokucyjnemi i sytuacyjnemi. Pozwala się spodziewać, że autor ma do powiedzenia rzeczy mądre w formie zabawnej, że ambicją jego jest *„ridendo castigare mores“*. Niestety akty

następnie przynoszą rozczarowanie. Komedja przeistacza się w farsę. Autor wystrzega się wszystkiego, coby mogło filistrom powojennym zepsuć smak dancingowej kolacji.

Wydalony ze szkoły nauczyciel moralności udaje się popołudniu na lekcję prywatną: uczy wychowanka bogatej kokoty, której amant jest aferzystą w wielkim stylu. Jako radny miasta Paryża korzysta ze swoich wpływów, żeby dostarczać magistratowi przez podstawionych pośredników rozmaite dostawy, na których zarabia kolosalne sumy. Tak się przypadkiem złożyło, że w tej chwili potrzebuje kogoś, ktoby się podpisał zamiast niego na umowie z magistratem. Nie mając nikogo innego pod ręką posługuje się p. Topazem, mianując go dyrektorem fikcyjnego domu handlowego.

Naiwność Topaza, nie orjentującego się wcale, iż został wciągnięty w aferę nieczystą, przechodzi granicę scenicznego prawdopodobieństwa. Sztuka płycieje coraz bardziej.

W akcie trzecim Topaz wie, iż współpracuje z bandą szubrawców. Nie podaje się jednak do dymisji i nie wydaje ich prokuratorowi, ponieważ zaczyna rozumieć, iż w życiu rzeczą najważniejszą nie jest bynajmniej cnota, lecz bogactwo. W akcie czwartym zapiera się swoich zasad dawnych i zrobiwszy błyskawicznie majątek staje się sam rekinem spekulacyjnym.

Opuszczamy teatr z żalem, że autor niewątpliwie bardzo utalentowany, nie wyzyskał należycie doskonałego tematu i poprzestał na stworzeniu widowiska efekciarskiego, które w dobie inflacji literackiej ma wszelkie szanse powodzenia, które jednakowoż ambicjami szlachetniejszemi zgoła nie grzeszy.

Przekład sztuki nie stoi na wyżynie literackiej. Kilkakrotnie ktoś wątpi w coś zamiast o czemś, zamiast „nie ten, lecz tamten“ mówi się po rosyjsku: nie ten a tamten, zamiast pole działania słyszymy: pole do działania. To są błędy elementarne i dziwne na scenie, skoro się wie, ile doskonałych literatów głoduje, daremnie czekając zamówień w teatrze.

ZASTĘPCA

SZTUKI PLASTYCZNE

SALON GARLIŃSKIEGO

TEGOROCZNY sezon artystyczny przysporzył Warszawie nowy, z niezwykłym gustem urządzony Salon Sztuki p. Czesława Garlińskiego przy ul. Mazowieckiej 8. Salon ten, od wielu lat chlubnie w stolicy naszej zapisany, zmienił lokal (dawniej Mazowiecka 16) i zyskał na tem znakomicie. Urządzenie wnętrza, pomysłu artysty malarza p. Gronowskiego odznacza się taką wytwornością estetyczną i zarazem praktyczną celowością, że darmoby w Warszawie szukać równie pięknego salonu wystawowego.

Pierwsze wystawy w nowym salonie świadczą o tem, że nawet najbardziej wymagający artyści, na elegancji Paryża „zepsuci“, ubiegają się o takiego, jak p. Garliński, gospodarza dla jaknajkorzystniejszego otoczenia swoich prac, na pokaz publiczny przeznaczonych. Po ciekawej wystawie rzeźbiarskiej Szukalskiego przyciąga obecnie znawców niemniej ciekawa wystawa młodego artysty-malarza p. Jana Marylskiego. Pan Marylski, dotychczas dla studjów przebywający w Paryżu, po raz pierwszy daje się poznać w Warszawie zbiorem około trzydziestu obrazów olejnych.

Paryż na pierwszy rzut oka widoczny jest w pracach młodego artysty, ale, że jest kilka Paryżów artystycznych, przeto odrazu uprzedzić muszę czytelnika, że jest to Paryż najbardziej kulturalny, najgłębiej francuski, najczyściej rasowy. Artystę polskiego nietyle wychowała (bo zaczął on w dobrej szkole polskiej K. Krzyżanowskiego), ile wypolerowała szkoła francuska, dbająca o smak, umiar, wytworność, jasność, rysunek i kompozycję. P. Marylski z wrodzonym sobie wdziękiem, swobodą i zaborczością rasowego szlachcica polskiego nabrał najszlachetniejszych (że tak to dla analogji nazwę...) „manjer“ tradycji sztuki francuskiej i ukazał je obecnie społeczeństwu rodzimemu.

Byłoby jednak wielką dla artysty krzywdą, gdyby krytyk poprzestał na zaznaczeniu w nim tylko wpływów francuskich, choćby najlepszych. Sztuka p. Marylskiego posiada coś ponadto, posiada taki rozpęd i tężyznę duchową, taką odwagę i siłę wewnętrzną, taką pańskość i rzetelność, jakie trzeba już mieć z urodzenia i talentu w sobie samym, bowiem żadna szkoła tych wartości udzielić nie może. Na wystawie obecnej da się wymienić sześć lub siedem szkół francuskich — dawnych i nowszych aż do Renoir'a i Cézanne'a, których sposobami widzenia i roboty p. Marylski naprzemian maluje, a mimo to ani cienia snobizmu, ani jednego dyletanckiego pociągnięcia pędzlem, ani jednej plamki nieprzemyślanej i niewyczutej! Wszędzie znakomita wiedza malarska i pełne opanowanie techniki, jak u najbardziej doświadczonego artysty. Jest w tem ogrom pracy duchowej, wzrokowej i technicznej, podłożonej pod wrodzony smak artystyczny i talent czysto malarski.

Indywidualności artysty w całym tym pokazie jeszcze niema, a jeśli jest, — to niewiadomo, którą mianowicie drogą będzie się rozwijała — z tych kilku, które młody artysta z taką rozrzutnością w możliwościach swej sztuki przedstawił. Ale na indywidualność p. Marylski jeszcze ma czas... Obecnie z szacunkiem należy powitać jego wiedzę, rzetelność, kulturę i talent.

Jako dodatek do wystawy p. Marylskiego, w głębi salonu dwie małe ściany zajmuje najnowsza teka graficzna p. Skoczylasa, oraz prace jego uczniów, zrzeszonych w towarzystwo pod nazwą „Ryt“. P. Skoczylaś nabiera pożądanej miękkości w swoich linjach, zasadniczo surowych i twardych, zresztą nie zdradza skłonności do dalszego rozwoju swego talentu. Może osiągnął już najwyższy szczyt swoich możliwości. Jego uczniowie jeszcze nie odeszli od mistrza, niby stadko owiec na hali od swego pasterza. Ale szkołę mają dobrą i mogą już bezpiecznie pomyśleć o pełnej samodzielności.

Jakkolwiek otwarto w tych dniach w salonie Garlińskiego nową wystawę—panów Rafałowskiego i Pronaszki—obu futyrystów czy formistów (o czem w następnym zeszycie „M. N.“ napiszę), należy stwierdzić raz jeszcze, że w malarstwie polskiem z coraz większą siłą i liczebnością rośnie młoda i rzetelnie artystyczna reakcja na wszystkie bezpłodne a krzykliwe judoformizmy. Wystawy o nowych a czczych teorjach ze swojej strony naocznie ukazują beznadziejną słabość i pustkę nowych kierunków, jeszcze reklamowanych. To już koniec! Galwanizowanie trupa! Resztki opętania, które już tylko służyć mogą do analizy psychopatologji, prądów pseudo-artystycznych, sztucznie w społeczeństwo nasze wstrzykiwanych. Następnym razem zajmę się wyłącznie tym ciekawym objawem szczątkowym dziesięcioletniej demokratyzacji sztuki europejskiej.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

OFENSYWA

HANDELSMANY

GDZIE ruszyć teraz, tam wszędzie działają i krzątają się zwinne i chybkie Handelsmany. Czasami tak się jeszcze nazywają, czasami przemienili sobie nazwiska na Targowski, Jarmarkiewicz, Kiermaszyński, Kupczyk, Kupczykiewicz. Czasami mają całkiem inne nazwiska ale w zawód pisarski i w proceder dziennikarski wnoszą handelsmanję, pośrednictwo, rajurostwo, przemytnictwo, przekupstwo i t. p. metody.

Niektórzy Handelsmanowie są już potentatami: ku czci takiego profesora, np. uczniowie wydali wspaniałą „Księgę Pamiątkową", ale za co, niewiadomo. Wiadomo tylko, że nie wydali jeszcze „ksiąg pamiątkowych" uczniowie profesorów Kutrzeby, Konopczyńskiego, Tokarza, Sobieskiego, Dąbkowskiego i kilku innych. Wywdzięczając się za to swoim uczniom prof. Handelsman już wciągnął na docenturę majora A. Bałabana. A ten major docent już zdołał mieć mowę do studentów żydowskich w imieniu potężnej organizacji B'nai-Brith w lokalu Bibljoteki Wojskowej, gdzie nawiasem mówiąc, rezydują już dwie semitki (w Sowdepji nazywają takie „myszkami") koleżanki Goldberżanki.

Inny Handelsman nazwiskiem „Targowski" na jakiś czas został przemycony do chrześcijańsko-demokratycznej „Rzeczypospolitej", gdzie przez kilka dni gorączkowo „kojarzył" Chadecję za Sanacją, nawoływał do z g o d y, aż wreszcie za z g o d ą zarządu stronnictwa szybko został zdemaskowany i odprowadzony na schody.

W gadzinowym dzienniku „Przedświt" operuje znowu inny Handelsman, z imienia Józef i Józefowi bardzo oddany, który z okazji procesu Wójcika wypisał tam nikczemny artykuł pt. „Złe dusze"; obskurny gudłaj miał czelność ordynarnie tam wygrażać Polakom w Polsce i stawać w obronie „majestatu Rzeczypospolitej", tak jakby Rzeczpospolita obrony takich szajgeców „potrzebowała".

Do kategorji namiętnych handelsmanów politycznych, rajfurujących zgodę i kompromisy pokłóconej ze sobą Lewicy, należy znów p. „Włodzimierz" Jampolski. Tego „Włodzimierza" okropnie martwi i gryzie niezgoda między „Cekawickami" a frakcją rewolwerową, na czem wedle jego spekulacyj najlepiej wychodzą i wyjdą te chuligany „endeki". Już dwa lata temu powróciwszy z Berlina, widocznie natchniony tam, jako ten Jezajasz, tak napominał w „Epoce" (25 sierpnia 1927):

> „Dzieje polityczne i parlamentarne Europy wskazują na licznych przykładach, mających do dziś nieprzemijający walor, że demokracja liberalna i radykalna i socjalizm są naturalnymi sojusznikami walki o demokratyczny ustrój i reformy i o ich ochronę".

Kiedy po dwóch latach znów wracał z Berlina ten Jampolski jampolak, aż załamał ręce, widząc jak się Liebermanny z P.P.S. kłócą z handelsmanami już zakupionymi przez rząd. I wtedy znów nasz *„schadchen"* w tej samej „Epoce" zaczął nawoływać do zgody:

> „Musimy na terenie polityki wewnętrznej pozbyć się niepotrzebnego balastu zbędnych i nieproduktywnych konfliktów i zamierzeń. Problemu konsolidacji wewnętrznej nie pojmujemy w sposób frazesowy. Wiemy, że następuje ona automatycznie w chwili niebezpieczeństwa. Wolimy jednak, aby nastąpiła wcześniej, aby zwiększeniem aktywności i siły zmniejszyła napór tego niebezpieczeństwa".

„Wolelibyśmy" doradzał wracający z Berlina p. Jampolski i to zanim jeszcze na arenę wystąpił Samson Liebermann, aby oślą szczęką razić i gromić Filistynów. Również jako ten Jankiel z „Pana Tadeusza" rajfurzył zgodę rabbi Thon z Krakowa w „Nowym Dzienniku":

> „Byłoby ciężkim błędem, gdyby z czyjejbądź strony rzucano znowu teraz rządowi kłody pod nogi. Jeżeli przyjdą rzeczowe propozycje, to w niejednym wypadku trzeba będzie nie zważać na formę. Przedewszystkiem musi stanowczo ustać to wzajemne droczenie się: „A tyś pierwszy prosił!" „Nie, ty pierwszy". Tak dalej pójść nie może. Trzeba z obu stron rzetelnie próbować wszystkiego, co może doprowadzić do zgodnej pracy".

Handelsmanili także rok temu redaktorzy Rubel i Kanarek, którym powierzono „delikatny interes" z przyciągnięciem i nabyciem dla rządu sędziwego Bojki i kilku innych kmiotków galilejskich. Gdzie wogóle spojrzeć przez mocniejsze szkła, wszędzie można natrafić na kręcących się i zwinnych, obrotnych handelsmanów, ratujących ostatnimi wysiłkami rozpadającą się powoli Synagogę Sanacji.

Ostatnio kilku takich kędzierzawych handelsmanów prasowych z niejakim „Wrzosem" *alias* Rozenbergiem na czele wyjechało z pozwoleniem naczalstwa z jakąś tajemniczą misją do... Sowdepji, co przed narodem i poddanymi starannie jakoś jest ukrywane...

Grubo nieudolnym handelsmanem okazał się ostatnio ugrzeczniony i rozkosznie uśmiechnięty dygnitarz z M. S. Z. p. Litauer, przez którego macherstwa zaszedł ten fatalny wypadunek z Bernardem Shaw; z tego „dyplomaty" dużej pociechy nie będzie.

Natomiast na dyplomację jakąś honorową zasłużył sobie radca Neuman, Lodzermensch zamieszkały w Paryżu, Atlas naszej ambasady. Jak ten się kręci, jak zabiega, jak wysługuje i zasługuje, to doprawdy podziwiać można! To jest handelsman *first class.* Co i kogo on nie kupuje, a czego i komu nie handelsmami, byle tylko w Warszawie w Centrali mówili mu: brawo radca Neuman! a maseltopf! Że i tam w Paryżu dużo bezrobotnych, wyranżerowanych, niezadowolonych generałów, a to wykreślonych z awansu, a to usuniętych swego czasu przez Focha lub Weyganda ze sztabu głównego, więc kuty na cztery nogi, choć niepozorny radca Neuman mobilizuje sobie takich antifaszystów i anti-plutarchów i zamawia u nich „robótki". I oto co jakiś czas czytamy, co to taki a taki znakomity generał lub jeszcze znakomitszy pisarz napisał w takiej a takiej prowincjonalnej *„Gazette de Gascogne"* lub *„Depêche de Grenoble"* o „Roku 1920-ym". Zanim tam polski narodek się dowie, co zacz taki Pierre le Fou czy Jean qui Rit..., to „Pat" wali depesze po depeszach, poddańce rozdziawiają gęby z admiracji i gmach legendy zmurszały znów podparty, jeszcze się nie rozlatuje. Na jak długo starczy monety na tak luxusowe fety i reklamy niewiadomo. Ale w każdym razie radca Neuman darmo grubej pensji i funduszów dyspozycyjnych nie bierze.

Różne bywają te Handelsmany, zdolne, bardzo zdolne i najzdolniejsze, cymes i obercymes. Ale takiego machera, takiego agenta, takiego commisa, takiego *„schadchen"* jak radca Neuman, to doprawdy powinszować. Jeżeli kiedy, po najdłuższym żywocie przewali się na zbity pysk *miss* Sanacja, to gdy inni pójdą w djabły, radca Neuman powinien zostać, „zostać siedzieć" nadal.

Radca Litaur z Londynu, to jest urodzony fuszer, a radca Neuman z Paryża, to jest urodzony Fouché, napoleoński książe Otranto. A maseltopf *chér maitre!*

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

P. Dunin Borkowski ładnie wyszedł na służbie sanacyjnej. Jako wojewoda lwowski zaszczepił z powodzeniem na „Słowie-Polskiem" drzewko majowe, co sporo kosztowało ziemian małopolskich. Podobało się to widocznie, bo zrobiono genjalnego ziemianina wojewodą poznańskim. Tam też szczepił prasę „sanacyjną"—ale podlewać już musiał wekslami własnemi. Kiedy mu się to wreszcie sprzykrzyło, ustąpił, ale skarb nie chce uznać jego weksli. W Wielkopolsce niema hojnych ziemian—no i Majbaumów.

*

Między oddanymi p. ministrowi Piłsudskiemu toczy się w prasie interesująca polemika na temat, czy Piłsudski jest socjalistą. P. Bartel w „Kujerze Porannym" utrzymuje, że nie jest; p. Moraczewski (najbliższy przyjaciel) w „Przedświcie" powiada, że jest... Właściwie kłócąc się wyznaje w końcu: „Jaki jest obecnie światopogląd, co jest obecnie w duszy, w mózgu i w sercu marsz. Piłsudskiego w stosunku do socjalizmu tego nie wiem"!. Kapitalne! Przecież Piłsudski — to wasz program. Więc cóż wy wiecie o swoim programie?

*

Po mowie wileńskiej premjera Świtalskiego, zapytano w kraju: No dobrze — jest Batory, a gdzie Zamoyski? Wtedy premjer zaprosił klub „sanacyjny" B. B. na herbatkę, na której b. minister poczty p. Miedziński wyjaśnił, że opinja niepotrzebnie szuka dzisiaj „czynnika miarodajnego". Trzeba czekać decyzyj p. min. Piłsudskiego, które „z a w s z e b y ł y t r a f n e". Jak na adjutanta odpowiedź wcale bystra, ale nie wystarczyła opinji, bo oto „Głos Narodu" pisze z tego powodu:

> „Oto „kanclerskie" myśli, oto ambicje umysłowe, oto horyzonty polityczne ludzi z „najbliższego otoczenia". Wierzyć się nie chce, że taka atmosfera samo-otrzebienia umysłowego, takiego, nawet w najsurowszym zakonie nieznanego, *sacrifizio dell'intelletto*, może panować w obozie, który podjął się zadań, wymagających nieustannego wysiłku myśli i woli"

*

W organie Zjednoczenia Pracy Miast i Wsi, tygodniku „Przełom", stuprocentowy „sanator" p. Jerzy Szurig tak charakteryzuje w artykule wstępnym położenie w kraju:

> „Fala zwątpienia i zniechęcenia wznosi się powoli i rozlewa po kraju. Bez szkieł powiększających dostrzec można łatwo objawy zmęczenia w społeczeństwie i wzrastającej dla spraw publicznych obojętności. A przez skorupę apatji przesączać się poczynają niepokój i niezadowolenie".

Obraz najzupełniej prawdziwy. Nie przytaczamy go też dla łatwej złośliwości, ani z celem szyderstwa czy urągania. Nie potrafimy tylko zrozumieć, w jaki sposób ludzie szczerze kochający Polskę mogli byli nie przewidzieć zgóry, że metody oraz „ideologja" obozu „sanacyjnego" **m u s i a ł y** nieuchronnie doprowadzić do takich właśnie wyników...

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 2545. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2 gie piętro. Tel. 1290.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P.K.O. 3.105

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI
Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELINSKI

Druk. A. Michalskiego, sp. z o. o., Chmielna 27. Telefon 27-15.
PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM